









# G w i a z d k a

na rok

**1 8 4 6**

dla

**Młodzi Katolickiej.**

---

---

**GNIEZNO I LESZNO.**

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera.*

<http://rcin.org.pl>

20



Anjół.

Kiedym zgwiazdą nadziei  
Leciał świecą Judei

Himn Narodzenia śpiewali Anjeli.

Mędracy nas nie widzieli,  
Królowie nie słyszeli,  
Pastuszkowie postrzegli  
I do Betlejem biegli.

Pierwsi wieczną mądrość witali,  
Wieczną władzę uznali,  
Biedni, prości i mali.

A. Mickiewicz.



IMPRIMATUR.

P. I 665

Bydgoszcz, dnia 9. Lipca 1845.

*Salkowski,*

Radzca J. Kr. Mci. Rejencyi,  
Cenzor obwodowy.



## **Psalm.**

---

Chwalcie o bracia, najwyższego Pana  
Niech mu jednemu cześć będzie oddana,  
Jego niech imię, wcałój ziemi słyńie,  
Póki wiek późny swoim torem płyńie.

Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada,  
Niechaj świat Boską chwałę opowiada;  
Pan ma narody wszystkie pod nogami,  
Jego się chwała wznosi nad gwiazdami.

Kto się wzdy z Panem tym porówna? który  
Światłem nas darzy i zsyła chmury,  
I włada w niebie i rządzi na ziemi,  
Strzegąc nas wszystkich, oczyma świętymi.

On ubogiego znędy wyprowadzi,  
Na wyższem miejscu pokornych posadzi,  
On niesie radość dla ojca i matki,  
Kocha posłuszne i cnotliwe dziatki,

W jego więc imię pocznijcie swe sprawy;  
Dzień i spoczynek, prace i zabawy;  
Wtedy spokojnie wam upłyńie życie,  
I na niebieski żywot zasłużyćie.



## I.

## Gwiazdka

## w więzieniu pogańskim.

„Nie każdemu Pan Bóg używa tyle łaski, że w gronie braci i przyjaciół swoich, z rodzicami swymi obchodzić może wesołe święto Bożego Narodzenia,“ tak ojciec rzekł do Frani i do jej brata Bronisława, który matkę za rękę ciągnął do stołu i świętymi słowami prosił, aby czém prędzej wieczrę zastawić kazała. Matka z uśmiechem odparła: „Wszakże wiesz, że to starodawny zwyczaj Chrześcijan i Polaków, czekać z wieczerzą, póki się gwiazda na niebie nie pokaże; tylko raz w rok wigilią Bożego Narodzenia mamy, a tyś tak niecierpliwy?“ „Moja mamó, bo mi się bardzo jeść chce“ żalił się Broniś, a rzuciwszy okiem na niebo, zawołał radośnie: „Gwiazda, mamó, gwiazdo świeci na niebie,“ i wymknął się do kuchni, oświadczyć wesołą nowinę służącej, która niebawem wieczerzę zastawiła. Po



pacierzu usiedli wszyscy. Było dziewięć potraw, i siano pod obrusem; a na osobnym talerzu białe opłatki, złożonym papierem spięte, leżały. Ojciec wstawszy, dzielił się z każdym domownikiem, zaczynając od matki; a potem z kolei łamał z dziatwą i z starszym wujem i z służącymi. Kiedy już było po kłusieczkach z makiem, Broniś podniósł główkę i wesoło spoglądał na mamę, jakoby dziękując za takie przysmaki, któremi się uraczył. Frania siedząc przy ojcu, rzekła: „Papko, cóż to są za ludzie, którzy tego święta nie obchodzą w domu jak my?“ — „Wszyscy ci, co domu własnego nie mają, co są sieroty, bez ojca bez matki, i ci, co się tulają po świecie, i ci co podróżują.“ — „Ach Papko, pozwól mi, żebym mogła schować to, co jeszcze dostanę, dla tych dzieci, którym onegdaj mama umarła, a które tu były i tak płakały.“ — „Bardzo dobrze Franio, że o nich pamiętasz, i mama im co poszle na gwiazdkę.“ — „Odemnie też mamó, zawołał Broniś, bom się już najadł; ale żeby to dzisiaj mogły dostać, toby się ucieszyli; jabym im sam zaniósł, i z mego półzłotka trzy grosze na świeczkę, bo to tak pięknie, kiedy w pokoju jasno; to nam wesoło, nie prawda Frania?“ — „Mój synku“ rzekł ojciec, „idź, kiedyś się na to ofiarował, Walenty pójdzie z tobą i weźmie wszystko w koszyk; a ty mu odbierz przede drzwiami, kiedy już będziesz miał wnijsć.“ Frania zawołała: „a tu masz dzwonek, żeby zaraz wiedziały, że to gwiazdka idzie; weź też te orzeszki i trzy jabłka i jeden piernik z mojej gwiazdki.“ — „Jeszcze teraz za rychło, za dobrą godzinę zabierz się, a tymczasem ojciec nam co opowie z nowej książki, którą wczoraj tak pilnie czytał.“ Na te słowa matki, Frania i Broniś zaczęli prosić ojca,

ażeby im opowiedział jaką powieść z nowej książki. Ojciec rzekł: „Tylko wprzód zmówmy modlitwę i Bogu podziękujmy za dary Jego.“ — Po modlitwie, gdy ze stołu wszystko było uprzątnione, wszyscy przymknęli się bliżej do ciepłego pieca, a ojciec rzekł: „Nie każdemu moje dzieci, tak dobrze jest jak wam; są ludzie, którzy w ciemności, w więzieniach, w mękach wigilią dzisiejszą przepędzają, chociaż nie złego nie popełnili. Oto właśnie o jednym takim człowieku wam chcę powiadać.“

„Jużście zapewne słyszeli o missyonarzach, t. j. o kapłanach, którzy słowo Boże i wiarę Chrystusa pogańskim narodom opowiadają, i całe życie poświęcają na to, aby bałwochwalców nawracać do prawdziwej wiary. Od samego początku Kościół Ś. wysyłał takich kapłanów w kraje pogańskie. Apostołowie z rozkazu Chrystusa wszędzie opowiadali naukę Zbawiciela, także następcy ich, t. j. biskupi i kapłani mieli i mają ten obowiązek opowiadania słowa Bożego. A że jeszcze wiele jest krajów na ziemi, gdzie bracia nasi nie wiedzą o Chrystusie, i gdzie zatém nie mają wiary prawdziwej — więc co rok pobożni i gorliwi kapłani przez morza i góry, puszcze i piaski w dalekie strony zapuszczają się, aby nawracać niewiernych i drogę do szczęścia wiecznego i zbawienia objawić.“ „Czy poganie też umieją po polsku?“ zapytała się Franja. — „Nie, Franio, odrzekł jój brat, przecież oni nie są Polacy, nie prawda Papko?“ — „Tak jest, oni tam swoje dziwne języki mają, i inne obyczaje i inne ubiory, inne potrawy, domy, prawa. Taki missjonarz, który tam idzie, wiele odwagi i mocną musi mieć wiarę, i wiele się rzeczy nauczyć musi, nim może zacząć nawracanie. Musi oto nauczyć się nie jednego obcego

języka, inne téż nauki posiadać, aby łatwiej zaufanie i szacunek owych narodów pozyskał.“

„I daleko to od nas mieszkają ci poganie?“ tak się Frania odezwała. — „Tysiące mil, n. p. w Azyi i w Afryce, gdzie ich najwięcej. Często się zdarza, że przez złość pogańskich kapłanów i królów chrześcijanie bywają wypędzeni, bici, katowani. Tak w roku 1842. kilka francuzkich missyjonarzy od przełożonego biskupa swego wysłani byli do krajów nad oceanem południowym i wschodnim położonych, jako to: Kochinchina, Syam, Anam, China. Właśnie wtedy panował w kraju Kochinchina król, który pod karą śmierci zakazał Chrześcianom wniknąć do kraju i nawracać. Dobrze o tém wiedzieli owi missyjonarze, wszelako w imie Boskie udali się do przeznaczonej ziemi. Po wielu podróżach, gdzie ich tamtejsi nawróceni przechowywali, urzędnicy wysłedzwszy ich, wtręcili do więzień. Z rozkazu króla, odesłano ich do stolicy, gdzie długo zamknięci wyroku swego czekali. Urzędnikom czyli mandarynom najwięcej na tém zależało, aby ich wystawić jako szpiegów i burzycieli, i aby ich zmusić do zaparcia się Chrystusa. Sprowadzono i słuchano krajowców nowo nawróconych. Przy pierwszych śledztwach, odbytych na prowincyi, dwóch nawróconych, gdy ich męczyli poganie, uległo bólowi, tak, iż się Chrystusa zaparli. W stolicy zaś, przy drugiem śledztwie, mężnie odwołując wszystko, wyznawali Chrystusa. Mandarynowie, złością ujęci, natychmiast każdemu po 40 plag trzciną bambusową wylczyć kazali. Ucierpieli to dla wiary, i gdy je odprowadzono do więzienia, ledwo o własnych siłach iść mogli. Dnia 22. Października, tak jeden z księży więzionych pisze: wyprowadzono nas przed sąd, gdzie nas przez dwie godziny badano.

Wypytywali się mandarynowie o okręt, na którym do kraju przybyliśmy, o miejsce, gdzieśmy stanęli, i szczególnie o to, czemu nas bracia nowo nawróceni nie chcieli wydać rządowi. Odpowiedziałem im: że będąc Chrześcijanami, wiedzą o tém, że niewinnych na śmierć wydać się nie godzi; że wiedzą, iż chcemy czém prędzej dostać się do kraju sąsiedniego, gdzie nasza wiara nie jest zakazana; że zatem nikomu nie złego uczynić, ani rządowi szkodzić nie chcieli. Mandaryni tedy wyszukawszy nasz krajorys, który z wszystkimi innemi rzeczami nam zabrano, rozpostarli przed nami i przez tłumacza swego kazali mi odczytać, co na nim było napisane. Zacząłem czytać miasta i rzeki i objaśniać znaczenia nazwów. Oni jednak koniecznie szukali jakiego powodu do skargi, i wskazawszy na niektóre miejsca mappy, które żółte miały kolory, kilkanaście razy krzyczeli, coby to znaczyło. Odrzekłem, że kolor na krajorysie jest do woli, że możnaby było i czerwono pomalować, a byłoby to samo, co jest. Nic to ich nie przekonało; twierdzili, że to nasze wykręty — że prawdy nie powiadamy, i że żółte owe kolory znaczą te miejsca w ich kraju, w których cudzoziemcy myślą złoto wykopywać! Tak tedy krzyczeli do saméj nocy. Trzeba było śledztwo odłożyć. Aż oto przyniesiono krzyż. Wiedząc co dalej nastąpi, czułem, jak w moich żyłach krew zawrzała. Zacząłem wgłos wołać, aż mnie ostrzegął mój tłumacz, żebym nie gadał tak śmiało. Jednak jeszcze bardziej wołałem, wyznawając Chrystusa. W tedy jeden z żołnierzy krzyż położył przed nogi towarzysza mego, także księdza, aby go deptał nogami. Książdz wizerunek Zbawiciela naszego podniósł i pocałował, ja także, wydarłszy żołnierzowi krzyż,



ucałowałem go i w głos wołałem: „oto mandarynowie tak ja krzyż depeę.“ Sędziowie kazali nas odprowadzić do więzienia. Domagałem się słowa; a gdy mi mówić pozwolono, rzekłem: „Wzięliście nam wszystkie pieniądze, i rzeczy nasze przedaliście, czy nie myślicie nam dać pokarmu? czy chcecie nas umorzyć, nim wyrok zapadnie?“ — Pierwszy sędzia odpowiedział: „Jeżeli nie macie pieniędzy na żywność, tedy jedzcie ziemię.“ — Gdyby nie Opatrzność Boska i miłosierdzie naszych Chrześcijan, którzy z narażeniem życia wkradali się do nas i nas żywili, — jużbyśmy dawno byli pomarli, bo w ostatnich czterech miesiącach ani grosza na żywność nie dano. — Jednego księdza z Tonkinu na całe życie okuto w kajdany, za to, że się Chrystusa zaprzeć nie chciał, drugiego święto. Mnie samemu zaś, tak ów missyonarz pisze w jednym liście, już nie tak się przykrzy ciężki łańcuch na szyi, okowy u kolan i u karku. To mnie martwi, żeśmy nie doszli do tego kraju, do któregośmy byli wysłani. Albowiem jużesmy mijali ziemię króla, którego nazywają królem wód, a stanęliśmy na ziemi króla ogniów, gdy nas pogoń Kochinchińska, wysłana za nami, doznała i ręce nam w tył związawszy, ciężkie jarzmo z drzewa na karki włożywszy, wiodła na powrót do miasta Tujen. Lud, im dalejśmy się w głąb kraju zapuszczali, tém nas szczerzěj przyjmował, a tu nieszczęsna niewola wszystko zniweczyła. Bądź zdrów bracie, tak ów list kończy, już w moim więzieniu ciemném liter nie widzę, które piszę. Czy zginę, czy nie, dowiesz się. Polecaj mnie modlitwie braci moich i owieczek twoich, tak jak ja w kajdanach modłę się za was wszystkich.“

Ojciec przestał mówić, a Frania smutnym głó-

sem zapytała się, czy zabili tego księdza. Odpowiedział ojciec: „Usłyszysz co się dalej stało, bo jeszcze jeden list ziomkow jego doszedł i ogłoszonym został. Broniś poskoczy do biurka mego i przyniesie tę zieloną książeczkę, która leży u dołu po lewej stronie.“ —

Za chwilę Broniś książeczkę przyniósł i ojcu oddał, który rozłożywszy ją, kazał synowi czytać. Ten, już to na karty, już na ojca patrząc z podziwieniem, milczał. Siostra rzekła: „Chwalileś się, że dobrze czytasz, a teraz nie potrafisz.“ — Broniś odparł: „Kiedy to nie po polsku tylko po francuzku, a ja nie umiem jeszcze tyle.“

Ojciec tedy rzekł: „Dla ciebie książeczkę tę przeznaczyłem, skoro ją będziesz umiał czytać, dostaniesz ją.“ —

Ucieszony Broniś zaręczył, że za rok najdalej gładko czytać po francuzku nauczy się. — „Więc wam dziś, rzekł ojciec, przetłómaczę ów list, o którym wspomniałem. Tak ksiądz missyonarz pisze do brata swego:

W więzieniu miasta Hue  
w Boże Narodzenie. 1842.

**Kochany Bracie!**

Król potwierdził wyrok śmierci względem nas, ale rozkazał odłożyć karę, dopóki nie wyznaczy dnia, w którym mamy iść na stracenie. Dnia 3. Grudnia król wyrok potwierdził, a w dniu następnym mimo zakazu mandarynów i zatajenia, myśmy jednak już o wszystkiem wiedzieli. Nie sądź, że nas zasmuciła ta wieść; owszem radością przejęci, oczekujemy téj chwili, w której nam Pan Bóg dozwoli, ponieść śmierć za wiarę świętą. Dnia 7. Grudnia od-



prowadzono nas do wielkiego więzienia, gdzieśmy się spodziewali zastać trzech towarzyszków naszych. Lecz przybywszy tam, już nikogo z nich nie widzieliśmy, bo ich poganie gdzieś indziej byli osadzili. Kto tylko Europejskie widział więzienia, nie może sądzić o naszym położeniu; więc Ci opiszę więzienie nasze. Na ostatnim końcu miasta Hue, które jest stolicą kraju, tuż pod okopami od strony zachodu, widać wśród obszernych bagien, wielkie mury, wczworogran wystawiona, około 50 sążni długości, a 12 stóp wysokości mające. — Te więc mury, rowami objęte, otaczają gęste i ostre krzaki bambusowe, przez które trudno się przedrzeć. Otóż za temi murami jest owo wielkie więzienie, które się nazywa Ramdang, prawdziwy stek wszystkich zbrodniarzy z całego kraju, siedlisko wszelkiej nędzy, ubóstwa i głodu. Lekki most bambusowy łączy brzegi rowu i wiedzie do owęj bramy, z której za zwyczaj żaden więzień nie wychodzi, chyba prowadzony na śmierć, lub w trumnie wyniesiony. Przeszlim bramę śmierci. Połowę dziedzińca okrywały pola ryżem zasiane, który należy do przełożonego; drugą połowę zajmują cztery wielkie gmachy. Jeden z nich jest pomieszkaniem naszój straży, trzy zaś dla więźniów są przeznaczone. Pierwsze więzienie jest dla mandarynów, drugie dla niższych urzędników i stanów, a w trzecim są ludzie ubodzy i niskiego stanu. Wszystkie te więzienia jakoby wielkie szopy, lub klatki, są bez murów i ścian. Niezmierne mnóstwo słupów podiera dach ceglany. Wszędzie są dwa piętra, jedno t. j. górne, jest na powietrzu dwa łokcie nad ziemią i składa się z ciemnej klatki z desek, gdzie nie masz ani okna, ani stołu, ani łóżka. Światło tylko drzwiami wchodzi, lecz drzwi zawsze są zawarte. Pod

ziemią jest dolne piętro, czyli raczej sklep niski, gdzie więźniowie na gołej ziemi leżą bez okrycia, bez posłania, tylko gdzie nigdzie widać kawały matów słomianych, którymi się zasłaniają od wiatru ci tylko więźniowie, co je kupić sobie mogą. Każdy więzień ma własną komórkę. Po zachodzie słońca więźniowie z dołów swych wylazą po drabkach do górnych klatek, gdzie ich żołnierze kajdanami obciążają, i zszedłszy, drabki odmykają. Tak co dzień bywają zamykani i spuszczeni. Przez łaskę komendanta, wolno nam w sklepikach przebywać noc i dzień, a lubo tak są niskie, że się w nich wyprostować nie można, jednak tam cokolwiek jest znośniej, niż w klatkach zamkniętych, gdzie parno i duszno jak w piecach. Sam osądz, czy Europejczyk w takim pałacu bez cudownej Boga pomocy dłużej niż 18 miesięcy mógłby wytrzymać i zostać przy życiu. Wkoło nas są błota; ziemia, na której leżymy, zawsze jest mokra, wodą przesiąknięta. W porze deszczów woda dochodzi do łóża mego; a gdy później wczasie upałów przeszło 50 ogniów na około nas się pali, wtedy nam tak, jak gdybyśmy byli zamknięci w piecach rozpalonych. Jeszcze ci opiszę sposób obchodzenia się z nami. Trzy razy na dzień wychodzimy na widok; żołnierze ustawiają nas wszeregy po 5 ludzi, i pilnie nas rachują, ażeby nikt nie zginął bez ich wiedzy; albowiem za każdego zbiega, straż i jej przełożony podpada tejże karze, na którą zbieg był skazany; jeżeli na śmierć był skazany, tedy gardło dać muszą strażniki. Przyznaję ci się bracie, że mi się serce krajało, gdyśmy się pierwszy raz wśród łotrów i zbrodniarzy, wśród złodziei i trędowatych ujrzeni; ale uczniowie nie są wyżsi od pana swego; wszakże i Pan nasz Jezus Chrystus mię-

dzy łotry policzony, nawet zabójca wyżej od Niego został ceniony.

Niewola tu jest tak wielka, że to, co natura ludzka wymaga, tylko dwa razy w dzień załatwić pozwolono w pewnym czasie. Żołnierze więźniów prowadzą dwa razy na dzień do pobliskiego bagna, a z powrotem bierze każdy z sobą zapas wody, żeby miał co pić w parnym więzieniu. Kto natury swojej zwyciężyć nie jest w stanie, kijem bywa karany.

Za dnia nie wielu nas strzeże; za nadchodzącą ciemnością strażników liczba się powiększa i do stu dochodzi. Jedni w więzieniu przechadzają się przy pochodniach, które my kupować musimy, od czasu do czasu dając znaki grzechotką z trzciny bambusowej, aby się wzajemnie pobudzać do czuwania. Większa jest liczba strażników na dziedzińcu będących; ci mury okrażają i co chwila krzykliwie się odzywają.

W drugich dwóch więzieniach więźniowie własnym nakładem się utrzymują. Choćby byli parę lub kilka mil oddaleni od rodzin i pokrewnych swoich, jednak albo sami w żywność opatrzyć się muszą, albo jakiś krewny z nimi przybywa i dla nich zarabia na życie. W naszym zaś więzieniu wszyscy cokolwiek żywności od rządu pobierają, t. j. dwadzieścia garnków ryżu na miesiąc, lecz tak pośledniego i nieczystego, że go więźniowie za zwyczaj ze stratą przedawają, aby kupić lepszego. Zład idzie, że okropna nędza i głód wcześniej do nich zawita, i wielu o rychłą śmierć przyprawia. Więzień potrzebuje drzewa do uwarzenia ryżu, potrzebuje słomiaka i przyodziewku, bo tego nigdy nie dadzą — skąd biednego na to wszystko stanie? Przedaje zawczasu część ryżu swego na gwałtowne potrzeby, a później zgłodu umiera. — Żołnierze na miesiąc pobierają



około 7 trojaków i trzy garnki ryżu; przyodziewku i innych potrzeb, krewni im dostarczają.

Trzecie więzienie od naszego przedzielone jest gankiem na 5 łokci szerokim. Jak okropny widok tego więzienia — ledwo opisać ci mogę. Gdy po raz pierwszy wszedł do niego, ujrzałem gromadę zbrodniarzy bez odzieży, jako zwierzęta, w zupełnym opuszczeniu, ciężkimi kajdanami obciążonych, którzy śmierć w oczach mając na wilgotnej ziemi leżeli. Co mocniejszy podnosił się, i ochrapłym głosem rozpaczy krzyczał i powtarzał słowo: Doi, doi, t. j. jeść, jeść. Drudzy już nie mieli tyle siły, aby wyrazić nędzę swoją; lecz oko ich, na pół umarłe, które we mnie wlepiali, głośniej do mego serca przemawiało — niż gdyby byli prosili. Twarze ich były wywiedłe, do rzemienia podobne, oczy zapadłe, usta drżące z słabości i głodu, ale bez głosu. Przerażający to był widok. Ci więźniowie, nie mając tyle żywności, ile ciało wymaga, ani użebrać tyle nie mogą, aby najcięższy głód zaspokoić; bo gdzież pójdą? Łańcuchy ich trzymają — a drudzy więźniowie sami tak cierpią jak oni. Nie pozostaje im, jak tylko śmierć i rozpacz. Przekonasz się z tego, iż król nie samych Chrześcijan tak srodze prześladuje i karze. W ciągu zeszłego miesiąca czterdziestu więźniów umarło wowych lochach; a dotąd mrą gęsto.

Może sądzisz, że inni ludzie bogatsi odwiedzają te więzienia? Nie — jeden tylko człowiek raz do roku przybywa do nas, t. j. urzędnik królewski, który zjeżdża dla tego tylko, aby się przekonać, czy kajdany jeszcze dosyć są mocne dla więźniów. — Tak to pogaunie nieczuli są na nędzę. — Gdyby jaki więzień do drzwiów braci majątnych zapukał, zapewne nie jeden dałby mu po garści ryżu — lecz po-

szukiwać nędznych i nieść im ratunek z miłości, ocierać łzy jego, nakarmić łaknącego na łożu śmiertelném — to tylko święta wiara Chrystusowa za obowiązek kłaść miała wiernym jej synom. — Bogaci poganie uważają za wielką hańbę, przyjąć proźbę okutego w kajdany biedaka, lub mówić słowo do nędzarza, lub opatrzeć wywiędłą rękę, którą łazarz jaki do nich wyciąga. Gdym był w więzieniach Tran Fu, pewien więzień nowo przybyły nie dostał żadnego posiłku. Żołnierze pozwolili mu przez litość, wyskrobać garnki od ryżu, i zjeść spalone skrobki; za co im we dnie pomagał koło czyszczenia ryżu. Na końcu znalazł się pewien oficer straży, który się odważył udać się do mandaryna i przedstawić mu, że ów więzień żywności nie pobiera, i że onim zapomniano. Mandaryn odgrażał mu kijem, że za hultajem się ujmuje. — Ja sam, gdym o co prosił, usłyszałem od mandaryna te słowa: „Jeżeli nie masz pieniędzy, ani żywności, możesz jeść ziemię.“

Teraz ci też powiem, jakich pociech niekiedy doznajemy w naszym cierpieniu. Lubo nasze więzienie jest niezdrowe i niedogodne, jednak je przekładam nad wszystkie inne więzienia, do których mnie do tego czasu wtrącano. Strażniki, widząc samych tylko biedaków, nie pomyślą o zdzierstwie; my więc w naszych kłatkach nie potrzebujemy się nabawiać natrętych zdziereów; mamy nadto tę wielką ulgę, że zbraćmi naszymi, którzy Chrystusa wyznawają, przestawać możemy, nie tylko z tymi, którzy przed nami poszli do więzień, lecz i z następcami naszymi. My więc wspólnie odmawiamy modlitwy, wspólnie pożywamy ubogą strawę i wzajemnie się cieszymy. Chrześcijanie nowo nawróceni, którzy mieszkają w o-

kolicy, niekiedy nas odwiedzają, nie bez narażenia się, ale bez bojaźni.

Tak oto i w jamach naszych Pan Bóg nas obdarzył gwiazdką. Choć żyjemy tyle set mil oddaleni od wszystkich naszych rodaków, od kochanej naszej ojczyzny, wśród pogan, pod okrutnym rządem nieprzyjaciół Chrystusa, wśród nędzy, głodu i rozpacz; jednak P. Bóg nie zapomina o nas. Powiem ci jaką mieliśmy gwiazdkę. Już dawno pragnęlim posiłku niebieskiego, owego chleba żywota, który nam Chrystus w Ś. Sakramencie Ciała i Krwi swojej zostawił. Jakże dawno byłem pozbawiony tego szczęścia połączenia się z Zbawicielem moim! Cóż mnie cieszyć mogło w mojem utrapieniu, jeżeli nie ten święty pokarm; któż mnie potrafił umocnić w wierze, któż sił potrzebnych dodać do znoszenia niewoli, głodu, plag i prześladowań, jeżeli nie Pan nasz, który za mnie umarł na krzyżu? Nadszedł ów dzień pożądaný. W wigilię tego dnia, krótko przed Bożem Narodzeniem słuchołem spowiedzi naszych braci więzionych, sam zaś gotowałem się na dzień następujący, spędzając resztę dnia na modlitwie i rozmyślaniu. Nazajutrz bardzo rano, gdy jutrzienka zaświtała na wschodniem niebie, już oczekiwałem pożądanego gościa. W myśli przeniósłem się do ojczyzny, w myśli stanąłem w kościele moim przed ołtarzem i widziałem poranny brzask, wdzierający się wysokimi oknami, jako strumień tęczowego światła. W myśli usłyszałem wspaniały głos organów i pobożny śpiew wiernych. Widziałem w duchu znajome twarze, i każdy ołtarz mego kościoła, i obrazy świętych męczenników; zdawało mi się, że słyszę miły szelest starych lip na Bożej roli, że oddycham owém powietrzem kraju ojczystego, że wi-



dzę owe niebo, w które za lat młodości tak często oczy wlepiąłem — aż tu brzęk kajdan mnie obudził i ciężkie westchnienia więźniów mnie doleciały; porygam się, — ból mnie ściska — łańcuch szyję gniecie — widzę, żem przykuty. — Za chwilę wszedł gość, w ubiorze krajowym, pod pozorem odwiedzenia znajomych więźniów. Poznałem od razu twarz jego — był to ksiądz z krajówców nawróconych! On mi niósł gwiazdkę upragnioną, t. j. Ciało i Krew Zbawiciela. — Co za szczęście spotkało ubożego więźnia! Sam Zbawiciel nie wzgardził ciemnym moim więzieniem; odwiedził okutego w kajdany i wskazanego na śmierć sługę swego. Przyjąłem z sercem skruszonym i radosnym Najśw. Sakrament; a łańcuchy moje zdawały się być ozdobą i strojem, który noszę dla imienia Chrystusa. Taka w świętą wigilią Bożego Narodzenia była moja gwiazdka. Pod okiem pogańskich żołnierzy i mimo ich woli odebrałem skarb łaski Boskiej po 10ciu miesiącach łaknienia.

Strażnicy nasi, lubo nie są zbyt bystrego umysłu, widzą i przekonywają się, że my Chrześcijanie pomocy jakiegokolwiek doznajemy; albowiem kiedy wszyscy poganie wkoło nas wokropnej żyją nędzy, my jój nie czujemy tak bardzo. Nas bracia zasilają pokarmem i odzieżą; zwykle więc dosyć dobrze wyglądamy na twarzy, i nie widać po nas głodu: często nawet mamy tyle, że biednym więźniom jałmużny udzielać możemy. Poganie tedy, doznawszy ratunku, z podziwieniem i wdzięcznym sercem powtarzają te słowa: „Chrześcijanie miłują się i wspierają wzajemnie, i nie opuszczają swych braci w nieszczęściu!“ Cóż powiedzą, gdy usłyszą, że aż z krajów zamorskich nasza pomoc pochodzi, że bracia nasi w Eu-

ropie mieszkający, o 5000 mil oddaleni, czynią składki na nas i przysyłają je nam do kraju pogańskiego, do więzienia nawet, aby nam ulżyć w pracach naszych dla szerzenia wiary! Ileż to łez, ile to żalów koi ta miłość wasza, to wasze dzieło święte, prawdziwie katolickie! Po Bogu Wam i całemu Towarzystwuto winniśmy, że nas głód i choroby nie wygładziły ze świata; Wam winniśmy, że mogliśmy odbywać tyle podróży i wśród pogan szerzyć słowo prawdziwego Boga. Staraj się bracie coraz większą liczbę owieczek twoich nakłonić do waszego związku na większą Boga chwałę i zbawienny dusz pożytek.

Proś Boga za mną, jak ja za tobą i owieczkami twemi się modłę. Być może, że przede śmiercią kilka razy jeszcze do was napiszę, gdy terażniejszy król, którego tron od dawna się chwieje, nie przyspiesza bynajmniej wykonania wyroku względem nas. Powiadają, że chce sobie ująć poddanych, wstrzymując się ile można, od krwi rozlewu. Składając dzięki wszystkim, którzy sobie mnie przypominają, polecam się waszym modłom, a was wszystkich opiece Boga  
jako brat wasz.“

Skończył ojciec, a dziatwa chwilę wzamysleniu siedziała. Frania najpierwsza odezwała się w te słowa: „Gdyby to było nie tak daleko, zarazbym mu skarbonkę moją posłała, żeby sobie mógł ryżu kupić, i kawałek wołowiny na rosół.“ — „A ja,“ rzekł Broniś, „jużbym wuja prosił o kilka złotych dla biednego księdza, na ładną komżę, a żebym tylko był większy i starszy, tobym tam pojechał i był przy księdzu. Najciekawszy jestem widzieć takiego poganina i mandarynow.“ — Ojciec uśmiechnął się i rzekł: „Moje dzieci, możecie się przyczynić do do-

brego, i według siły waszój wspierać owych apostołów, którzy dla imienia Chrystusa u pogan pracują. Niech każde z was na ten cel składa po parę groszy lub trojaków na miesiąc. Ja wam przyrzekę, odsyłać te dary miłości na miejsce przeznaczone, raz lub dwa razy do roku.“ — „Ale, jak to Papa zrobi, kiedy owe kraje nie należą do naszego króla, a więc téż tam dotąd poczty nie chodzą; a przez morza téż zapewne poczta nie jedzie.“ — „Są na to sposoby mój synu. U nas i w innych krajach są mężowie gorliwi, zwykle księża, którzy przyjmują składki na ten cel zebrane i odsyłają je do miasta Paryża lub Lionu we Francyi, gdzie jest główna rada całego Towarzystwa missyjnego (czyli Propagandy). Ta więc rada najwyższa utrzymuje wszystkie związki z misyonarzami, i przełożonymi biskupami, patryarchami i zakonnikami; prowadzi wszystkie korespondencye z zagranicą i wyprawia księży misyonarzy lądem i morzem na wyznaczone miejsce, do innowierców i pogan, zasęła im pieniądze i inne potrzeby na założenie i utrzymanie missyi, kościołów i szkół chrześcijańskich.

Towarzystwo rzeczzone tak jest pożyteczne i zbawienny pożytek dla chrześcijaństwa przynosi, że głowa kościoła Papież kilkakrotnie je zalecił, błogosławieństwo dał swoje i odpusty nadał przystępującym do tego dzieła zbawiennego, przywiązując doń, jak to zawsze bywa, pewne warunki, t. j. przystąpienie do ŚŚ. Sakramentów pokuty i ółtarza; pełnienie pewnych obowiązków i modlitwy.“ — Tym czasem matka nadmienila, że dziesiąta godzina wnet uderzy. Bronisiowi wcale się nie chciało spać, ale Frania pocierając oczki, rzekła: „boję się, żeby mi się dzisiaj nie przyśniły poganie, kajdany i ciemne



straszne więzienie.“ — „Myśl o gwiazdce,“ matka rzekła, „o dzieciątku Jezusie, i o aniołkach, którzy w dzisiejszej nocy przed lat 1845. śpiewali: chwała na wysokości i na ziemi pokój ludziom dobrej woli. Teraz do pacierza dzieci i na spoczynek.“ —

---

## II.

### Wyspa Robinsona.

---

**K**tóż jest, któryby jeszcze nie słyszał lub czytał o Robinsonie, owym pustelniku, który sam jeden lat kilkanaście mieszkał na wyspie bezludnej, oblanej wodami oceanu? Któż jest, kogoby nie wzruszył opis jego położenia, jego nędzy, prac, strachu i dziwnych przypadków? Cała ta powieść wyszła z pod pióra sławnego angielskiego pisarza Daniela Defoe, który ją nastroił z następującego zdarzenia.

Było to około roku 1680, kiedy morza, opływające Amerykę i Azyą sływały rozbojami. Był to wiek awanturniczy. Po owych wielkich odkryciach Hiszpanów i Portugalczyków, gdy ogromną moc złota i srebra z krajów odkrytych (Ameryki i Indyów) sprowadzano: taki duch chciwości i łakomstwa opanovał ludy handlujące, iż tysiące śmiałków, próżnia-

<http://rcin.org.pl>

ków, majtków, corok puszczały się przez oceany do owych świata części, gdzie zbogacić się można było. Już na ten czas potęga Hiszpan słabła; już Holendry, Francuzi i Anglicy po morzach liczne okręty wysyłali i osady i miasta hiszpańskie łupiąc i zdobywając, wydzierali Hiszpanom zdobycia dawne. W zaślepieniu swoim sąsiednie narody stały się zaciętymi wrogami o marną bryłę złota, o kawałek cudzej ziemi, o garść pieprzu, cynamonu lub innych korzeni. Gdziekolwiek na morzu okręty hiszpańskie z angielskimi, portugalskie z holenderskimi się spotkały — niebawem wszczęła się bitwa, niebawem zagrzmiały okrętowe działa, dziurawiły żagle, błochy; rwały liny i raniły załogę; śmielsza strona pędząc na okręt nieprzyjacielski i przyczepiając się hakami i pomostami do brzegu okrętowego, wskakiwała na okręt i wtedy krwawa rzeź jak na suchej ziemi roztoczyła się na morzu. Pałasze, dzidy, palna broń różnego rodzaju, race i granaty zabijały wiele ofiar. Zwyciężonych wycięto i potopiono, lub przedano za niewolnika; łupem się dzielono, a jeżeli zabrakło ludzi do opatrywania i kierowania żagli i wiosł zdobytego okrętu: wtedy go na morzu topiono lub spalono.

Ogromne straty i szkody owe wieki widziały po morzach. Wieleż to okrętów zginęło od prochu, ognia, od rozboju! Wieleż to milionów złota i srebra w sztabach, lub w pieniądzach w głębi oceanów zatopiono, wieleż to drogich korzeni, pereł, materyów, kamieni! Wieleż na koniec ludzi nagłą śmiercią zginęło w bojach, w napadach, w burzach! — Postrachem wtedy powszechnym byli rozbójniki morscy, których się, jak to bywa w czasach niespokojnych, bardzo wiele namnożyło. Zbiegi, zbrodniarze, żołnic-

rze, majtki, i awanturniki zebrani na zdobytych okrętach, pod rozkazami hersztów, nikomu nie podległych wojowali i łupili po morzach. Straszna ich była odwaga; rzucali się na wielkie okręta; nocą i dniem, zdradą i jawnie zdobywali obciążone bogactwem statki; wyciąwszy załogę, dzielili łupy, uchodzili do kryjówek swoich, t. j. do odludnych wysp i brzegów niedostępnych. Jedna z owych wysp była nie daleko brzegów zachodnich Ameryki, blisko królestwa Chile (Czyle). Nazwisko jej było Juan Fernandez, bo ją odkrył hiszpański sternik Jan Fernandez. Ten żeglarz często jeździł wzdłuż Ameryki od Peru do Chile. Jednego na tych podróżach miał nieprzyjaciela, t. j. okropne wiatry, które tam często wieją od południa i strasznie wzburząc wody, okrętom zagrażają. Juan Fernandez tyle trwogi i strachów doświadczywszy w podróży, pomyślał, czy nie znajdzie spokojniejsze morze, gdy bardziej się oddali od brzegów i wyjedzie na wody. W samą rzecz mocno się zdziwił, skoro ujechawszy daleko od brzegów, zastał morze spokojne, gdzie swobodnie i prędko na gładkich wodach okręt mógł płynąć. — Tym więc traktem jadąc, przyplynał do wyspy nieznaniej, która mu odtąd dogodną po drodze była stacją, gdzie się wodą świeżą opatrywał, i której nadał nazwisko swoje.

Na koniec sam na niej osiadł, jako w własnym swoim królestwie. Nie wiedzieć co go spowodowało, opuścić tę miłą siedzibę; kilka kóz po nim zostało na wyspie, które samopas idąc, wnet zdziczały i rozmnożyły się. Gdy więc nastąpiły owe rozboje; wyspa Fernandez była kryjówką rozbójników, którzy służyli pod nazwą Flibustierów i Bukanierów. Ci tu mieli podostatkiem ryb, kóz, lekarskich roślin i wybornej wody. Tu oni spoczywali po wyprawach, tu



okrety naprawiali, rannych i chorych leczyli. W tém więc towarzystwie rozbójników około roku 1680 znajdował się Anglik William Dampier. Był to człowiek nieokrzesany, dziki, ale zarazem odważny, nieustraszony, i pochopny do podjęcia trudnych czynów. Widzimy go na okręcie rozbójnickim, płynącym na wyprawę do morza południowego. Karność na owych okrętach bywała bardzo niestałą. Załogi, złożone z ludzi do wszystkich zbrodni gotowych, wyćwiczonych w trudach życia i zahartowanych w burzach morskich, bitwach, mordach i pożogach, bardzo skłonne bywały do buntów; często zrzucały swych naczelników i hersztów, knowały spiski na każdej nieomal wyprawie. Zupełnie namiętnościom oddane, nie zważały na nic, tylko na dogodzenie cheiwości, zemsty i rozpusty. Tak na okręcie, na którym się znajdował Dampier, załoga zbuntowała się, gdy dla zaopatrzenia się wodą, przybili do wyspy Juan Fernandez. Kapitan rozbójników zurzędu złożony, życiem przyplacił. Jeszeze załoga po tym zabójstwie hulala, gdy hiszpańskie okręty zjawiły się na morze. Co tehu rozbójniki, widząc przemoc Hiszpanów, wsiadłszy wokręt, odjechali, zapomniawszy jednego towarzysza. Był to Amerykanin zrodu Moskitów, t. j. ludu przez Hiszpanów podbitego, osiadłego na półwyspie Yukatan. Moskitowie pięknym wzrostem i zręcznością celujący, znajdowali się w owe czasy na okrętach szczególnie Angielskich, pełniąc służbę majtków, przewodników i t. d. Ich przysługi bardzo były ważne dla przybyszów z Europy, dla tego Moskitów nie trzymano w ścisłej karności, owszem wielkiej wolności używali; wolno im było na łódkach swoich dla połowu ryb wyjechać na morze. Zresztą bronią władać, i strzelać predko się naucezali, a w po-

tyczkach wielkiego męstwa dawali dowody. Jak sobie łatwo przyswajali Europejskie obyczaje, języki i ubiór, tak téż łatwo wracali do pierwotnego stanu dzikości. Chciwości nie znając, największą chlubę upatrywali w nadanych sobie nazwiskach Europejskich. Taki więc Moskito był ów towarzysz okrętowy na wyspie Fernandez zapomniany. —

Blisko cztery lata upłynęły, gdy Dampier na innym okręcie dnia 22. Marca r. 1684 jechał mimo wyspy Juan Fernandez. Przypomniał sobie owego towarzysza, któremu było imię Wit. Chcąc się przekonać, czy samótnik żyje — włódce zjednym towarzyszem, który także z Moskitów pochodził, pojechał do brzegu wyspy.

Otóż po chwili jakaż postać ludzka zjawiała się, okryta futrami zwierząt, dając znaki, żeby ją widziano.

Wnet się poznali obaj Moskitowie, upadli sobie do nóg, wprzód jeden a potem drugi, ściskali się i całowali z radości. Ten widok zwabił kilku okrętowych; wszyscy cieszyli się z tego zdarzenia. Wit już dzień wprzód z swojej wyspy okręt w oddaleniu był dostrzegł i nie wątpił był o tém, iż dawni przyjaciele po niego przyjadą. Był téż przysposobiony na ich przyjęcie; trzy kozy dzikie był upiekl i niemi częstował towarzyszków dawnych.

Gdy zajadali, on im opowiadał o sobie. Zrazu, gdy widział, że o nim zapomniano, najwięcej się lękał Hiszpanów, żeby go nie schwycili. Po ich odjeździe przemyślał, jakby życie urządzić i utrzymywać w samotności. Cały jego majątek składał się z jednej broni, cokolwiek prochu, kul i jednego noża. Ale poradził sobie lepiej, niż najuczeńszy filozof byłby potrafił. Porzuciwszy toż karabina, zrobione

z twardego drzewa, porobił z niego wędki, ostrza do dzid i pocisków, tudzież drugi nóż. Zamkiem od broni wzniecił ogień, który dzień i noc starannie utrzymywał. W tym ogniu rozpałił zamek od broni i z niego na kamieniach ukuł rozmaite narzędzia do krajania. Temi to broniami polował na kozy i łowił ryby. Sznury do wędków porobił z skóry psów morskich. Cwierć mili od morza wystawił sobie chatkę, którą pokrył skórą koziemi, i która mu trzy lata służyła za pokój sypialny. Tak sobie w samotności żył i biedy wielkiej nie doznawał. Dampier po dwóch tygodniach wypoczynienia wrócił do Europy, sławą okryty.

Rząd angielski wysłał go znowu r. 1699 na ocean południowy dla odkrycia nowych wysp. Okręt rozbił się i utonął nad brzegami wyspy Wniebowstąpienia (Ascension). Dampier ocalał i lubo w podeszłym będąc wieku, jeszcze się raz odważył i puścił się jako kapitan okrętu kupieckiego w morza południowe. Towarzyszył mu w tej podróży Alexander Selkirk Szkot, od młodości włóczęga i obieżyświat, z resztą zuchwały i krnąbrny człowiek. Ten wkrótce pokłócił się z kapitanem okrętowym, innemi przełożonymi i towarzyszami. Właśnie okręt ów był zawinął w przystani wyspy Fernandez, aby się wodą zaopatrzyć. Była to pora porównania dnia i nocy, t. j. Wrzesień r. 1704, który w tamtych morzach jest początkiem wiosny. Właśnie wyspa w pięknej zieloności miłym słońcem oświecona przed okiem żeglarzy leżała. Szumiące potoki czystej wody z skał spadające, wiły się pomiędzy krzaczystymi jarugami, i woń ziół i kwiatów napełniała powietrze. Selkirk tym widokiem znęcony nagle pomyślał, że lepiej by mu było, żyć sobie panem na tej wyspie pustej a



pięknej, niż słuchać rozkazów przełożonych. Kapitan chętnie przystał na to, i wysadziwszy dobrowolnego pustelnika, odjechał mimo prośb, które Selkirk czynił, aby cofnąć cały jego zamiar: albowiem wnet żałował, że był prosił o takie królestwo, ale już po czasie; kapitan uparł się i zucha odjechał. — Znów kilka lat upłynęło. Dampier niez mordowany na nowo r. 1708 te morza zwiedził, jako sternik na okręcie kupieckim. Choroba skorbutem zwana, panowała na okręcie, i nie było prawie tyle zdrowych, ile kierowanie okrętu wymagało. W tej niedoli wyspa Fernandez jak za zwyczaj służyć miała za stacyą. Dnia 1. Lutego 1709 już okręt od niej był tylko 4 mile okrętowe, czyli milę nie spełną polską. Noc nadeszła. Światło na wyspie zabłysło. Kapitan wysłał łódź z okrętu na zwiady. Po północy z działa wystrzelił, na znak, że mają wrócić ze zwiadów. Przybyli złodzią, lecz bez wody, a chorych trzeba było koniecznie ratować. Obawiał się kapitan hiszpańskich okrętów. Zrana gdy wświetle poranném wyspa się ukazała i całe morze na około — nigdzie okrętów nieprzyjacielskich nie było. Łódź z okrętu ruszyła i przybiła do wyspy. Gdy nadzwyczajnie długo nie wraca — kapitan wielką łódź wyprawia do wyspy zbrojną załogą. Wkrótce z wyspy wrócili, z wodą i ze świeżemi jarzynami. Włodzi siedziała jakaś postać ludzka. Poznał Dampier, że to Selkirk, i jak przyjaciela go przywitał. Chorych wyniesiono na wyspę, zstarych żagli namioty im porobiono i okręt i łodzie tym czasem chędożono i naprawiano. — Na kilka czasów wyspa załudniła się i wystawiała podobieństwo zamieszkałego kraju. Selkirk zradości usługiwał chorym, ubijał kozy, warzył rosół, i wdrapał się na skały wysokie po tarnki,

które chorym bardzo służyły. Gdy go wysadzono na wyspie, miał łóżko, broń karabinową, funt prochu, kule, tytuń, siekierę, kociół, nóż, kilka instrumentów i książek, pomiędzy którymi była biblia. W pierwszych dniach rozpacz go pobierała, że żywój duszy nie miał na swojej wyspie, otoczonej na mil tysięcy niebem i wodą. Z wolna dusza jego w samotności zaczęła się dźwigać i wznosić do Boga; rozpamiętywał dawne swoje życie i występki i słowo Boskie stało się słodkim dla serca pokarmem. — Dwie sobie chatki zbudował i koziemi skórąmi pokrył, w jednej sypiał, w drugiej warzył. Wonne drzewo krzaku kubeby palił na ognisku i piekł przy niém mięso kóz dzikich. Wnet jednak prochu zabrakło. Nauczył się tedy pędem ścigać kozy i chwytac je wgórach. Nie jedną kozę złapawszy znowu puścił, naznaczywszy nożem jój uszy. Europejskie jarzyny, dawniej przez Dampiera zasiane, bujnie rosły i Selkirkowi żywności dostarczały. Drapieżnych zwierząt nie było na wyspie; tylko psy i lwy morskie niekiedy cielska swoje tłuste i niezgrabne grzały nad brzegiem morskim i znów w morze uciekały. Szczury zaś bardzo mu się naprzykrzały. Z okrętami zapewne tam się dostawszy, rozmnożyły się tak dalece, że go w nocy niepokoiły, obuwie obgryzały i przez twarz skakały. Szczęściem parę kotów okrętowych na wyspie kiedyś zostawiono; te więc Selkirk mięsem koziem wabił, przyswoił i niemi szczury wojował. Kiedy już ubiór z niego opadał, musiał sobie uszyć nowy przyodziewek z skór kozich. Stary gwóźdź stanął za igłę i szydło, nici wziął zsprutej pończochy i z pasków skórzanych, cienko porzniętych. Wolne od pracy chwile spędzał na modlitwie, śpiewaniu psalmów i pieśni; lub bawił się z kocięta-

mi i koźlętami. Nieraz imię swoje i datę wygnania wyrył w korze drzew młodych. — Ustatkowawszy się Selkirk przez takowe życie, które Bóg wszechmocny z łaski swojej na niego był przypuścił — przyjął służbę na okręcie Dampiera. Od razu bardzo mu było przykro chodzić w trzewikach, jeść solone mięso i pić gorzałkę — bo od tego wszystkiego był odwykły; a gdy mówił, to tylko półgębkiem, t. j. połowę wyrazów, — że go trudno było rozumieć. — Dnia 14, Lutego okręty wyspę opuściły. Selkirk żył później w Londynie, gdzie majtkom zawsze musiał powtarzać przypadki życia swego.

Z tych więc opisów Defoe ułożył swego Robinsona.

Po wielu latach rząd hiszpański, ażeby rozbójnikom lub nieprzyjaciołom utrudnić pobyt na wyspie Fernandez, rozpuścił na niej sforę wielkich psów, które wszystkie kozy miały wytepić. Około r. 1740 już było mało kóz, a chowały się w niedostępnych skałach i górach. Psy i kozy dzieliły się panowaniem wyspy; tamte w nizinach, te w górach panowały, tocząc wojnę z sobą. Gdy żeglarz Anson tę wyspę odwiedził dla wyleczenia chorych — widział piękne góry podnoża, przerznięte czystymi strumykami i zielonością okryte. Chorym ta ziemia zdawała się być rajem. Anson admirał tam namiot swój rozłożył i na tej wyspie oczekiwał rozproszonych burzą okrętów. Trzy miesiące upłynęły, nim się flotta rozsypana po morzach zebrała. Zwiedził całą wyspę w tym czasie i opisał. Z południa ona wystawia pustą równinę kamieniami i rumowiskiem zasłaną, północne części są górzyste ale lasem zarosłe, obfitujące w jarzyny i owoce rozmaite. Kozy dzikie z naznaczonymi uszami zastali Anglicy w o-



wych górach były one bardzo siwe i brodate. Psy zdziczałe także widziano. Jednego dnia gromada psów okrzywszy wzgórze, nagle się zerwała pędząc razem ku wierzchołkowi. Tu między skałami stado kóz się chowało. Jedne tylko miejsce dla psów było przystępne, lecz wązkie; tam więc stado kóz zebrawszy się stanęło; stary kozioł im przewodził; wszystkie rogi spuszczone trzymały, nie ruszając się z miejsca. Psy widząc ich odwagę, nagle stanęły, pokładły się, i po chwili powróciły ze wstydem. Taką wojnę kozy i psy toczyły na wyspie. — Anson przed odjazdem nasadził wiele pestek brzoskwiniowych, morelowych i innych, w miejscach stósownych. Po 10ciu latach podróżujący powiadali mu w Londynie o smacznych morelach, które jedli byli na wyspie Fernandez.

Od r. 1766 Hiszpany wyspę obsadzili i forteczkę i miasteczko nad zatoką wystawili.

W r. 1792 angielski żeglarz odwiedzając wyspę, dziwił się pięknemu miasteczku, sadom owocowym i położeniu nowój osady; mile przyjęty od rządcy hiszpańskiego, zostawił mu, wywiczując się za grzeczność, znaczny podarunek, t. j: 12 butelek wina, tuzin talerzów, dwie salaterki, sześć kieliszków, baryłkę solonego mięsa i parę nowych bótów.

Lat 265 upłynęło od czasu odkrycia wyspy. Zbliżył się dzień ostatni dla ich mieszkańców. Roku 1837 żeglarze jeżdżący po owych morzach, tę smutną głosili nowinę, że nie masz wyspy Juan Fernandez; że w morzu znikła. Zapewne wulkanów i ogniów podziemnych siłą wypchuięta z dna morskiego, po kilku set latach znowu podobną siłą wulkanów w morzu zatopioną została z wszystkimi mieszkańcami. Jak okropne były chwile ostatnie owych

ludzi, kiedy ogień, trzęsienie ziemi, morze rozhukane i wichry razem wyspę samotną napadły — tego nikt nie widział, tylko domyśleć się można. Dziś morze zakrywa miejsce, gdzie wyspa stała; okręty po falach pędzą nad mogiłą ogromną. —

---

### III.

#### Okręt bojowy.

---

**K**to w roku 1813 bawił w Massylii i przechodził się nad portem, widział smutną ciszę, lud nieczynny i posępny, a okrętów wielką moc stojących bez masztów, lin i żagłów pod murami miasta. Admirał angielski Lowe w porcie Massylii oczekiwał Napoleona, i nie było nadziei dla kupieckich okrętów ruszyć na morze przed flotą angielską. Handel ustał. Majtkowie snuli się po kawiarniach i karczmach, czekając pory lepszej. Nie jeden sławny bojem i podróżami kapitan okrętowy siedział nieczynny w mieście i gościom ciekawym opowiadał przypadki swoje przy szklance araku lub filiżance kawy. Dnia jednego dwóch ludzi nad bulwarem portu idąc, stanęło przy ogromnym okręcie bojowym, który już dawno jak czarny olbrzym zwalczony, spoczywał u murów por-

towych, łańcuchem przytwierdzony. Wielkością przewyższał wszystkie okręty na około niego stojące. Drabina u brzegu wisiała; obaj wyszli na pokład okrętu i usiedli na szczątkach ogromnej windy. Okręt był pusty. Otwory dział świeciły jak rzędy okien stłuczonych, kawały lin, paździerze i smoła okrywały pomost, co niegdyś nosił wojska francuzkie; pusto było w dolnych piętrach, pusto na pokładzie ogromnym. Usiadłszy obaj przybysze milczeli; narreszcie młodszy z nich odezwał się: Przypominam panu kapitanowi przyrzeczenie Jego; prawda że czytałem opis wypraw tego okrętu, bo niedawno drukiem ogłoszonym został — lecz nie jest ukończony. Kapitan swój dziennik doprowadził aż do przybycia swego do Australii.“ — „Wiem o tém, odparł starszy i westchnął, przykre to wspomnienie dla mnie.“ — Znów milczał i zamyślił się. Młodszy nie śmiał mu przerwać myśli, bo go czcił jako starego wojaka i człowieka osobliwego. Postać jego była dziwna. Zdawało się, że w jego twarzy i osobie są rysy i piętna wszystkich cwych narodów zamorskich, których kraje i wyspy w życiu swoim był widział. Cera jego była ciemna jak dzikich Amerykan, czoło i lica figurami i kresami upstrzone, zwyczajem wyspiarzy australskich; głowa już łysa, a wzrok czasami okropny, czasami martwy i jakoby wstęp oczy wyteżone. Nosił na sobie krótki płaszcz burego koloru, podobny do burki góralskiej; co mu nadawało podobieństwo do naczelnika dzikich Amerykan. Mowa jego była wolna, ponura, jednostajna, a najokropniejsze sceny życia tymże samym oziębłym głosem opowiadał, nie zmieniając twarzy.

Po chwili z zamyślenia obudzony rzekł: „Usłyszysz przyjacielu, czegoś odemnie nie słyszał nigdy.

Płynąc z oceanu australskiego jużesmy przybyli do wyspy Isle de France. Szczęście nam po drodze było sprzyjało. Odkrywszy kilka mniejszych wysp, zarobiwszy na brzegach chińskich znaczne zyski z handlu futrami, mieliśmy wiele bogactw na okręcie naszym. Dla świeżej wody i żywności przybliżyliśmy do rzeczonój wyspy. Byłem wtedy drugim kapitanem na okręcie. — Wieczorem pierwszy kapitan wziął mnie do kawiarni. Przybywszy tam, prosił abym go czekał u stołu. Oddalił się średnicmi drzwiami do jakiegoś pokoju. Północ nadeszła; goście się rozeszli, mego kapitana nie widać. Gospodarz wchodzi i na mnie spogląda, jakoby napominając, że już czas do domu. Zapłaciłem, co się należało i wróciłem na okręt. Nazajutrz o 9tej z rana przechadzałem się nad wybrzeżem morskiem, gdzie statki stawają. Przypadkowo spojrzalem w tę stronę, gdzie kawiarnia nasza stoi; otóż kapitan mój spiesznym krokiem z niej wychodzi, ja mu drogę zabiegam, a on spojrzawszy na mnie, zmięszał się i rzekł: „W Pan mnie oczekiwałeś może noc całą?“ — „Nie, odparłem, tyle nie miałem cierpliwości, powróciłem na okręt.“ — „Dobrześ W Pan uczynił.“ — Potem wzięwszy mnie pod pachę, zaprowadził mnie na ustronie i stanąwszy, gdy nas widział bez świadków, założył ręce, patrzył mi bystro w oczy i rzekł: „Zgadnij W Pan, com robił przeszłej nocy?“ — Odrzekłem: „Przecież Pan nie rozbijał?“ — „Grałem.“ — „Czy to tak wielka zbrodnia, że Panu cięży na sumieniu?“ — „Przegrałem.“ — „Dość?“ — „Wszystko co miałem.“ — „To nieszczęście!“ — „I to przegrałem, czegom nic miał.“ — „Jeszcze gorszy przypadek.“ — „Winienem tysiąc piastków, i dzisiaj jeszcze zapłacić muszę, dziś, słyszysz W Pan?“ — „Mam 500



piastrów panie kapitanie, czy się niemi mogę przysłużyć? — „Prawda że to połowa długu mego, ale przyjmuje tę ofiarę, resztę dołożę z części towarów, które mają są własnością, a powtóre, że muszę szczęścia próbować na nowo, spodziewam się, że Anglików dziś dobrze ogram, jutro pojedziemy sobie dalej.“ —

Pobiegłem na okręt i zebrawszy com sobie był przez trzy lata złożył z mojej pensyi, wręczyłem kapitanowi, którego przez cały dzień nie ujrzałem. W nocy gra rozpoczęła się w kawiarni. Ja na okręcie swoim spałem. Przed wschodem słońca zerwałem się z łoża i stanąłem przed kawiarnią, czekając rychło wyjdzie kapitan. Nadaremnie. Zeszedł dzień cały, nie było kapitana, nadszedł wieczór, jeszcze go nie widać, a już rozkaz odebrała załoga okrętowa, żeby do wyjazdu wszystko było gotowe. Wszyscy majtkowie czekali na okręcie, już nie wiedziałem, co począć; okręt nasz stał w porcie jak groźny i niecierpliwy olbrzym; maszty dźwigały ogromne żagle i bandery powiewały wysoko w powietrzu wskazując na morze; cały gmach ruszał się w miejscu, z lekka unoszony wodami morza; już tylko kotwice łańcuchami wywindować z dna morskiego, już tylko zdziała huknąć na pożegnanie — tak wszystko było w pogotowiu. Słońce miało zachodzić, gdy kapitan z kawiarni wychodzi, błądy jak trup, strwożony, jak nigdy go nie widziano, nawet wśród gradu kul, wśród nawałnicy morskiej, kiedy burza okrętem miotła jak łupinką. — Słowa nie mówiąc, dał mi znak, żeby iść za nim. Uszedłszy kilka staj, stanął na miejscu odległym od ludzi, i rzekł martwym głosem: „Przegrałem wszystko, wszystko, powiadam ci wszystko.“ —

O mój kapitanie cóżes zrobił.“ — „Przyjacielu,

wierzaj mi, jakiś duch piekielny omamił moją duszę, byłbym cały okręt wstawił na jedną kartę, gdyby się dał postawić na zielonym stole.“ — „Źle kapytanie, bardzo źle, cóż poczniemy?“ — „Bądź spokojny, jużem wszystko rozporządził, że będziesz kontent ze mnie.“ — Więc masz kapitanie nadzieję, że z tego kłopotu wyjdiesz?“ — „Nadzieję? ha dla mnie nadziei nie masz na świecie, oh! czemu nie zginąłem w głębi morza, jak ziomek nasz La Peyrouse \*), czemu mnie dzicy wyspiarze nie zabili, czemu nie rozbił się okręt mój w cieśninie Magellańskiej lub nad wybrzeżem chińskim? — Przebyłem te strachy i ocalałem wszędzie, a tu wszystko tracę — oh wszystko, wszystko — nawet honor i dobre imię.“ — Już dalej mówić nie mógł nieszczęsny kapitan, głos drżący zatrzymał się, kapitan o drzewo głowę oparł i ciężkie wydając westchnienia, zapłakał. Krajało mi się serce; stary wojak, co tyle razy śmierć widział przed sobą, co nie zadrzał w momentach okropnych, przed towarzyszem i przyjacielem płakał nad sobą! — Rzekłem do niego: „Czy nie mogę wczem pocieszyć?“ — „Jedną mam prośbę do ciebie bracie, weź te listy, jeden oddasz kupcowi W., gdy powrócisz do kochanej ojczyzny, drugi familii mojej, a trzeci jest dla ciebie i zawiera rozporządzenia moje względem dowództwa na okręcie.“ — „Więc kapitanie myślisz się pozostać na tej wyspie?“ — „Tak jest, tu pozostanę,“ odpowiedział cierpkim i szydzącym głosem, a jakiś dziwny uśmiech przeleciał przez twarz jego i skrzywił ją, jakoby kurcz chwilowy. Okropna myśl zabłysła mi w sercu, przejęty litością i żalem usiadłem pod drzewem, i twarz zakrywszy rękami tamowałem łzy, które mi się do oka cisnęły.

\*) Który z całym okrętem rozbiwszy się, zginął.

Za chwilę tuż przy mnie zagrzemiał huk — zrywam się, lekki dym wionie jak biała mgła pod drzewami, a 5 kroków odemnie rozciągnięty leży na trawie trup kapitana; czoło było kulą strzaskane, martwa ręka pistolet trzymała, mózgiem i krwią ziemia na około zbryzgana.

Łatwo wystawić sobie boleść moją i trwogę załogi, gdy się o tym zgonie kapitana swego dowiedziała. Popłynęliśmy z okrętem do ojczyzny, i otóż piętnaście lat temu, a w oczach mi stoi to zdarzenie, jak gdyby się wczoraj stało. W miejscu gdzie siedzimy, on nieraz stał, kiedy ten wielki gmach płynął po oceanach odległych zbrojny 120 działami; kiedy odziany w białe żagle, jak na skrzydłach pędził po nieprzejrzanym wód przestworze. Dowódzca nasz w cudzej ziemi spoczywa, a okręt jego zawczasie gnuśnieje nie użyty; teraz na mnie kolój pożegnać się z tym światem.“

Młodszy towarzysz dodał: ale przynajmniej nie wrozpaczy, nie z narażeniem własnej duszy, tylko w nadziei lepszego żywota, w którym łez i płaczu nie będzie.“ — „Dałby to Bóg,“ westchnął stary żeglarz, a obaj wstali i wrócili do miasta.

---

#### IV.

### Król Jan Sobieski.

---

**T**urecy, straszni wrogowie wiary Chrystusowej, obyczajem swoim gotowali wielką wyprawę. Dwa mo-



carstwa wtedy mogły się spodziewać tych gości, t. j. Polska albo Węgry, należące wtedy do Austrii, czyli do cesarza niemieckiego. Monarchowie pomyśleli o przymierzu na odparcie wojsk tureckich. Nagle sułtan turecki Mahomet przez posłów cesarzowi Leopoldowi I. oświadczył, że mu się Węgry poddały i że je myśli zająć. Widoczna rzecz, że potęga jego uderzy na Austryą. Wszelako Leopold zraził sąsiada swego, króla polskiego Jana Sobieskiego, nie chcąc mu przyznać tytułu królewskiego. Lecz papież Innocencyzus XI. słysząc o niezgodzie tych mocarzy, starał się ich pogodzić, i posła swego Pallawiciniego wyprawił do Wiednia. Tedy na końcu Marca r. 1683 Pallawicini i poseł austryacki, hrabia Wilczek w Warszawie stanęli. Król Jan właśnie bawiąc na zamku wystąpił z komnaty na długi kurytarz, gdy mu obaj posłowie drogę zachodząc do nóg upadli. Hrabia Wilczek zawołał: „Najjaśniejszy Panie i Królu broń Wiednia“ — Pallawicini dodał: „i Chrześcijaństwa.“ — Rozrzuwniony król chętnie zapomniał obrazy dawniejszój i zawarł przymierze z cesarzem téj treści: że zwojskiem cesarzowi przybędzie na pomoc przeciw Turkom, za co mu cesarz przyrzeka, że królewiczowi najstarszemu Jakubowi poślubi jedną z swych córek, i że rodzinie Sobieskiego koronę polską na przyszłość zapewni. — Lubo ten związek bardzo niebezpieczny był dla Polski, gdy Turków zemstę ku Polakom obrócił na korzyść dawnego nieprzyjaciela Austryaka: wszelako związek został stwierdzony przysięgą. Już w Maju sułtan polskiego posła Trockiego do więzienia siódmu wież w Carogrodzie wtrącić kazał, co znaczyło wypowiedzenie wojny. Sam sułtan ściągawszy ogromne wojska, wyprawił je do Europy i naczelnikiem ich zrobił sławnego wezyra Kara



Mustafę. Tekieli Węgrzyn z 15,000 Węgrami złączony z Turkami prowadził wroga przez Węgry prosto ku Wiedniowi, straż przednią stanowiąc. Wojsk tureckich było 300,000 i dział 300. Z tą potęgą Mohamet zamysłał obalić państwa chrześcijańskie w Europie i w samym Rzymie wypocząć. Cesarz Leopold struchlał. Wojska niemieckie pod rozkazami dzielnego księcia Karóla Lotaryńskiego dochodziły tylko do 37,000. — Wielki wezyr przeszedłszy Dunaj, Sawę i Drawę gnał przed sobą Niemców i udając jakoby chciał uderzyć na twierdzę Komarno, wysłał 50 000 Tatarów traktem Wiedeńskim. Książę Karól poznał podstęp i obrał stanowisko, z którego Turków póty chciał wstrzymać, póki by nie wzmocnił załogi Wiedeńskiej. Więc obozem stanął na ostrowiu Dunaju zwanym Leopoldstadt blisko Wiednia. Już 10. Lipca cesarz Leopold z rodziną swoją opuściwszy stolicę Wiedeń, udał się do Lincy, a 14. Lipca Tatarzy zjawili się pod Wiedniem. Wojsko niemieckie nie było w stanie stawić czoła wrogowi. Tatarzy wypłoszyli cesarza z Lincy, a w całych Węgrzech rozlegały się okropne głosy; rozpaczy i płaczu miasta i wsie pożarem zniszczone z dymem poszły, lud złupiony, tułał się po borach i zdeptanych, spalonych niwach.

Kara Mustafa nie zważając na wojsko księcia Karóla, niebawem rozpoczął obleżenie Wiednia i tak wielką dla Niemców pogardę okazał, iż obozu swego ani wałem ani rowem nie wzmocnił i z swymi baszami i innymi dowódcami wszelkim zbytkom się oddał, co było szczęściem dla ucisnionych Chrześcijan. W mieście trwoga panowała. Hrabia Stahremberg załogą dowodził. Miasto wielkie, niestósownie obwarowane, wymagało wiele wojska do obsadzenia murów i ba-

szków, że mało sił pozostało do wycieczki i boju wstępnego.

Książę Karól widząc przemoc Turków, ustąpił wzmocniwszy załogi Wiednia, Komarna i innych twierdz, a odtąd wojował małe oddziały Turków, Tatarów i Węgrów, po kraju rozesłane. Towarzyszył mu Lubomirski z 4000 Polaków.

Dnia 22. Lipca pod mury miasta podemknięci Turcy zcierali się z załogą zbliżoną na ręczną broń. Stahremberg wysłał do księcia Karóla o pomoc.

Dnia 7. Sierpnia już zewnętrzne okopy Turcy opanowali, a miasto zdawało się prawie być w ręku nieprzyjaciela. Książę Karól gęste listy wysyłał gońcami do króla polskiego, prosząc o spieszny ratunek. Sam Leopold zapomniawszy o dumie swojej, błagał Sobieskiego wczułych wyrazach o pomoc, pochlebając mu, że samo jego imię Turków odstraszy. Król Jan już prowadził na odsiecz 30,000 Polaków; zostawiwszy większą część pod rozkazem księcia Jabłonowskiego, sam z małym oddziałem wyruszył naprzód przez Śląsk, Morawy i Austryę. Wszędzie on lud strwożony cieszył nadzieją, mieszkańcy tłumnie drogę mu zabiegali i jako wybawcę witali. Pod Ołomuńcem od prawej strony orzeł przed królem wleciał; po grubej mgłę niebo wypogodzone zajaśniało i piękna tęcza rozpięła łuk barwisty na łące zielonej. Stanąwszy nad Dunajem król zastał szczupłe wojska księcia Karóla, i z gniewem rzekł: „Czy mnie cesarz uważa za awanturnika? Ja wojsko moje wyprzedziłem w tém przekonaniu, że główne wojsko jego mnie oczekuje, jak mi był przyrzekł; czy ja sobie, czy jemu jęde na pomoc?“ — Dnia 5. Września książę Jabłonowski z wojskiem polskiem nadszedł i przeprowił się przez Dunaj, elektorowie bawarski i saski z posil-

kami nadeszli, tak iż wojsko Chrześcijan urosło do 74,000 zbrojnych. Było w tym wojsku dwadzieścia i sześć książąt niemieckich, trzech książąt panujących i król jeden, Jan Sobieski. Sam cesarz wolał z daleka czekać końca walki, niż osobiście bronić własnego kraju.

Tym czasem stolica Wiedeń do ostateczności przywiedziona, wyglądała wybawców, bo dnia 22. Sierpnia już komendant Stahremberg był oświadczył, że tylko jeszcze trzy dni murów bronić będzie można. Chciwość wielkiego wezyra tą razą zwłokę sprawiła; albowiem obawiając się Kara Mustafa, ażeby w czasie szturmów skarb cesarski nie dostał się wojsku szturmującemu, nie kazał uderzyć na miasto, sądząc że się wkrótce podda. Król uszykował wojsko i dnia 9. Września ruszył na odsiecz Wiedniowi. Wielka trudność była w tém, jak działa bateriów przeprowadzić przez góry, które Polaków oddzielały od obozu tureckiego. Wojewoda kijowski dowodził artylerją; on więc nie pytając się o trudy, zaczął przeprowadzić przez pasmo gór. Trzy dni z wyczerpaniem sił wojsko i konie podejmowały największe trudy, a w trzecim dniu 28 działo stanęło na grzbiecie gór wysokim. Od czasów Hannibalowego przejścia przez Alpy, nie było przykładow podobnego czynu; powszechną zatem sławę artylerji polskiej zdobyła u sprzymierzeńców. Król zaraz pierwszego dnia przeprowy spieszył do obozu cesarskiego, gdzie obecność jego potrzebniejszą była, gdyż powszechna trwoga Niemców dręczyła i nadziei prawie nie było. Pożogi miast i wiosków, płacz i rozpacz ludu nieszczęsnego wzruszały serce i przerażały je; krzyki i jęki Chrześcijan do obozu tureckiego pospędzanych, ucieczka cesarza i dworu, wszy-



stko to okropne wrażenie czyniło na wojsku niemieckiem. Polacy zaś nie dawno zwyciężywszy Turków zemstą palali za odebrany Kamieniec i z wielką ufnością szli na nieprzyjaciela. Jeszcze pora była dla Turków, naprawić popełniony błąd obsadzeniem Łysiej góry pod Wiedniem; lecz Kara Mustafa i tego nie uczynił, a Janczarowie jego jawną mu złość okazywali.

Tedy Polacy opanowali Łysą górę i pod sobą w równinie ujrzeni obóz turecki. Nie wystawiał on widoku wojennego. Ogromna moc pysznych namiotów, odgłosy wesołej muzyki i błyszczące, barwiste szaty tureckiego wojska rozciągały się daleko, jak tylko okiem zasięgnąć: wszystko miało pozór świetnych zabaw książęcych, nie życia wojskowego. Kara Mustafa, gardząc szczupłym Polaków wojskiem, kazał mocniej nacierać na miasto. Okropny grzmot 300 dział rozlegał się, i kłęby dymu zakryły mury na wpół potrzaskane. Baszty i wały od min i kul burzone waliły się zasypując rowy, lub wysadzone w powietrze rozrzucały kamienie i gruzy.

W nocy już, gdy kommandant Stahremberg widział przysposobienia do szturm, rozkazał wiele raców puszczać z wieży katedralnego kościoła S. Stefana; zabłysły race wysoko na nocnym niebie, dając znak zbliżającym się Polakom, że okropna chwila szturm nadchodzi. Otóż za chwilę mieszczenie ujrzeni jasność na Łysiej górze; trzy razy zabłysło, i trzy razy huk działa rozległ się jak grzmot w oddaleniu. Nadzieja serca ożywiła. Trzy razy z baszty głównej wystrzałem moździerza odpowiedziano. Już zorza na porannym niebie zabłysła, a w dolinach ciemno jeszcze i mglisto — wojsko polskie stało w pogotowiu na górach. Prawe skrzydło zajęli Polacy



pod rozkazami Jabłonowskiego, środek Bawary i cesarskie pułki pod wodzą książąt Waldek i Bawarskiego, na lewem skrzydle stali Sasy i Austryacy; dowodził im książę saski i lotaryński. Król miał naczelnictwo. Krótco przed wschodem słońca Jan Sobieski, książę Karól i inni dowódcy przystępowaniem do Ś. Kommunii gotowali się do bitwy na obronę wiary i chrześcijaństwa. Uroczą ciszą rozlana na około gór dozwalała wojsku słyszeć z dala dolatujące głosy Turków Allah, Allah, któremi Boga i proroka swego wzywali. Skoro słońce weszło, wojsko zstępowało.

Chan tatarski bystrém okiem swoim ujrział chorągiewki na dzidach polskich husarzy, czyli towarzyszków i rzekł do wezyra: „Król polski jest na czele wojska.“ — Jak piorun razila ta nowina ucho wezyra; w pierwszój złości kazał pozabijać jeńców chrześcijańskich, aby się w obozie nie zbuntowali; i wtedy porwawszy chorągiew Muhameta proroka, swego wyruszył z jańczarami naprzeciwko królowi; zarazem kazał rozpocząć szturm powszechny na miasto. U podnóża gór rozpoczęła się walka. Piechota chrześcijańska uderzyła na Turków, a jazda pod rozkazami samego króla, piorunem rzuciła się na środek wojska niewiernego. Koński i hrabia Maligni, brat królowej, opanowawszy winnicę, uderzyli na wroga z boku i parli go od wzgórza do wzgórze aż na same równiny. Już lewe skrzydło pokonawszy Turków chciało ich ścigać, kiedy król wstrzymał jego zapęd niewczesny, i wprzódy uszykował rozerwane pułki i zdyszona jazdę niemiecką. Wtedy w dobrym porządku wojsko ruszyło. Stanowcza nadeszła godzina. Zbliżywszy się na jeden strzał obydwaj wojska, stanęły jakoby mierząc wzajemne siły.

Chrześcijanie głębokie milczenie zachowując, a Turcy podnosząc okrzyki wojenne i grząc muzyką jańczarską. W tém podnosi się nad buńczukami chorągiew proroka i powiewa w powietrzu. - Po szeregach muzulmańskich słyhać przeciągłe wołanie: Bajrak, Bajrak \*). Oczy Muzulmanów obrócone były ku temu miejscu, gdzie nad purpurowym namiotem zielona chorągiew w środku obozu się ukazywała. Tym widokiem do boju zapaleni Turcy, rozkazów czekali. Sobieski widząc co się dzieje, dał znak do boju; trąby zabrzmiały i na czele towarzyszków król puścił się na wroga. Książę Karól na prawe skrzydło Turków napada i dobywa wielkiej ich baterji, w mieście z murów i wieżów widziano, jak wojsko Chrześcijan postępowało; tedy Stahremberg kazał bramę otworzyć i wysłał swoje wojska na pomoc królowi. Lecz już Turcy uciekali. Za ledwo Sobieski pierwsze szyki spahów był przełamał, i prosto zmierzał ku namiotowi wielkiego wezyra: gdy nieprzyjaciel zmieszany zaczął uciekać. Chorągiew proroka znikła. —

Kara Mustafa targał włosy, ryczał z gniewu i tarł się po ziemi, gdy widział ucieczkę swoich. Jeszcze raz wysoko wznosił świętą swą chorągiew; raz jeszcze pułki jego zebrały się koło niego i na Polaków się obróciły; lecz jak potok z Tatrów spadający, tak król z swemi uderzył na zbite szeregi niewiernych. Chorągiew święta dostała się w ręce Polaków, okropna rzeź powstała i tysiące trupów legło jak kosami ścięte kłosa. Wrzwawa, jęki, krew, szczęk pałaszy, chrzęst zbrojów i tumany pyłu i dymu zbroni, a wśród tego zamieszania marsowe wąsate

\*) Tak nazwano chorągiew proroka. Była ona koloru zielonego i miała napis: Zwycięstwo z Boga. Głoszą, że Anjól Gabryel z nieba ją przyniósł Muhametowi.

twarze polskiej jazdy, na ziemi pod końskimi kopytami buńczuki, broń, Turcy i Tatarzy — otóż okropna scena na pobojowisku Wiedeńskim. Około godziny piątej wroga z okopów wyparto, a w pół godziny później już zbliżano się do obozu tureckiego. Książę Lotaryński z Niemcami i Lubomirski z 4000 Polakami na lewém skrzydle stoczył równie zaciętą walkę, szczególnie koło tureckiego szańca, gdzie Baszów kilka z doborem ludzi wrozpaczy opór dawało. Prawe skrzydło pod wodzą króla Jana i Wojewody Ruskiego Hetmana Jabłonowskiego Stanisława, z chorągwiami Sieniawskiego, Wojew. Wołyńskiego, Leszczyńskiego, Lanckorońskiego, Potockiego, Rzewuskiego i t. d., najokropniejszy ogień wstrzymując, z niezrównanym zapałem szło na ogromne zastępy wroga. Chorągiew królewicza Alexandra pod wodzą Zwierzchowskiego i Karóla Tarła Wojew. Lubelskiego pierwsza złamała szyki tureckie. Środek Chrześcijan postępował za obrotami skrzydeł, a wkońcu spiesząc Polakom w pomoc, stał się nader użytecznym. Przed świtem dnia pierwsza krew była płynęła. Przed południem utracili Turcy kilka najmocniejszych stanowisk; po południu pokonano ich na wszystkich punktach, a między piątą i szóstą wieczorem już całe wojsko do samego obozu Turków dotarło. Nastąpił wypoczynek. Pytanie zaszło, czy tegoż dnia, czy nazajutrz szturmem wzięść obóz turecki. Słyszając to, powstał Marszałek polny, Gole, starzec 70cio letni i wołał: „Po co się zatrzymywać? Stary człowiek jestem, ranami okryty, i radbym dziś leczyć się w Wiedniu.“ — Właściwie całe wojsko żądzą boju pałało. Uderzono na wroga, który trwogą przerażony nie dotrzymał miejsca. Nadaremnie wielki wezyr krzyczy, do porządku woła,



sławę dawną przypomina — Nikt nie słucha. — Sam wpada do namiotu swego i pustym go widząc, wmieszsa się w tłumy pierzchających. Mało przykładów podobnego popłochu dzieje podawają. — W godzinę przed zachodem słońca, Chrześcijanie opanowali obóz turecki; a nim noc zapadła, nie było jednego wroga po tamtej stronie Dunaju — wszyscy uchodzili do Węgier; tylko tysiące trupów zalegało bojowisko, tysiące rannych jęczało na ziemi, zroszonėj strumieniami krwi, zoranėj kopytami koni i kulami dział, a zasianėj ciałami rozmaitych narodów. Wróg, lubo po 13 mil na dzień odbywał uciekając ku granicom swoim, byłby nie uszedł zupełnej zagłady, gdyby znużenie Chrześcijan po krwawych trudach, i ciemność nocy nie byłaby wstrzymała pogoni. — Tak się skończył dzień 12. Września r. 1683., w którym męstwo Polaków przy cudownej pomocy Boga Wszechmocnego ocaliło Wiedeń, cesarza, Niemcy i świętą wiarę Chrystusa. —

Miasto uwolnione było zarmat na powitanie zwycięstwa, lud płakał i do Boga się modlił. Sobieski noc całą pod bronią stać kazał wojsku, dla ostrożności. Nazajutrz oglądał łupy w obozie tureckim zostawione. Nie jeden straszliwy widok tu się nawinął. Leżały stósy trupów Chrześcijan zabitych i kobiet tureckich, które Kara Mustafa kazał był zabić, ażeby się zwyciężcom nie dostały. Nie jedna dziecko żywe w martwych trzymała rękach; 600 takich dzieci biskup Nowomiejski Koloniecz kazał wychować i ochrzcić; królowi przyprowadzono konia wezyrowego z dozórca jego; obydwóch złote stroje okrywały. Tedy Sobieski zdiąwszy złote strzemiona wyprawił je z listem do królowej. Znalezione także w namiocie wezyra obraz Najświętszej Panny z podpisem



takim: „Przez ten obraz o Janie zwyciężysz.“ — „Prawda“ zawołał król Jan, „zwyciężyłem“ i obraz do Polski kazał odesłać. Jeszcze w namiocie wozowym znaleziono Proskiego, posła Polaków, okutego wkajdany. Kara Mustafa nieraz mu był zagrażał: „Skoro tylko pan twój król polski do obozu mego się zbliży, dasz gardło pod miecz.“ Nie ziszcilo się to na nim. Bo Mustafa w onczas dopiero dowiedział się o bliskości króla Jana, gdy go na własne oczy z pałaszem w ręku ujrzał jako mściciela straszliwego. Wtedy czasu nie miał uciąć głowę Proskiemu, który dwa miesiące wustawicznym strachu zostawając, po wygranej bitwie z kajdan uwolnionym został. Mile go rodacy i król witali. Zdobyecz w obozie była ogromna: 25,000 namiotów, tabory i dział 370 Turcy byli zostawili. Prochu 1000 centnarów, chorągwie, sztandary, buńczuki, niezliczone mnóstwo powozów, sprzętów, 50,000 wielbłądów, 10,000 wołów dostało się w ręce Chrześcijan. Cukru i kawy tak ogromne zabrano zasoby, że od-tąd kawa upowszechniwszy się, stała się ulubionym Wiedeńczyków napojem. Pierwszą kawiarnią na sposób turecki założył sławny Jerzy Kulczycki, otrzy-mawszy pozwolenie na to od cesarza, w nagrodę męstwa i zręczności, którą był okazał podczas oble-żenia miasta. Gdy bowiem daleka jeszcze była od-siecz Polaków, a Turcy coraz okropniejszy sypali ogień na miasto, wtedy wiele zależało na tém, aby o niebezpieczeństwie wielkiem donieść księciu Lo-taryńskiemu i jego wezwać pomocy. Turcy w około miasta leżeli; jakże się przedrzeć do obozu księcia? Podjął się tego poselstwa Kulczycki, biegły wjęzyku tureckim. Przebrany po turecku wieczorem bramą Szkoocką z jednym służącym, tureckie śpiewając pieśni

po wielu przypadkach i strachach przedarł się przez wszystkie straże i cały obóz turecki do obozu cesarskiego. Z równem szczęściem tąż drogą powrócił z pismem od księcia, które obleżeniom dodało otuchy. Pamięć Kulczyckiego przeszła do potomności. Dziś wizerunki jego są znane i wdzięczni Wiedeńczycy dziś jeszcze wiedzą, że go wtedy przydomkiem Bruderherz, t. j. Brat od serca witano. —

Do króla zaś francuzkiego, który Turkom sprzyjał, Sobieski w te słowa odpisał: „Sądzę, że W. K. Mość szczególnie ucieszę nowiną o wielkiem zwycięstwie chrześcijaństwa nad niewiernymi, gdy jesteś najstarszym Kościoła synem.“ Komendant Wiedeński Stahremberg przyjechał powitać zwycięskiego króla, i obaj na czele wojsk odbyli świetny wjazd do stolicy. Niesiono przed królem mnóstwo buńczuków, chorągwi i innych łupów. Działa zagrzmiały, gdy orszak świetny wjeżdżał przez mury strzaskane i domy rozwalone. Lud wdzięczny cisnął się ze wsząd ku królowi, ze łzami wołał: „Oto nasz wybawca, niech żyje dzielny król polski.“

Tysiące gdy nie mogli ścisnąć nóg królewskich, przynajmniej dotykały się konia jego, lub kraju kontusza jego, lub też dzielnych jego towarzyszków witali z wielkiem rozrzewnieniem i płaczem. Wszystkie dzwony odezwały się w mieście. Wojsko stanęło przed katedrą. Król zorszakiem i częścią wojska wszedł do kościoła, i uklękawszy na stopniach ołtarza, korzył się przed Bogiem wszechmocnym, który dał zwycięstwo garstce Chrześcijan nad krociami niewiernych, i zaśpiewał radosnym głosem: „Te Deum laudamus.“ — Himn zabrzmiał w sklepieniach starej katedry i serca rozczulił; potem X. Marek d'Aviano wszedł na ambonę i piękną mową czyny

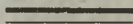
Jana Sobieskiego przystósował do słów Ewanjelii Ś.: „Był człowiek od Boga posłany, któremu było imie Jan.“

Cesarz Leopold tymczasem, widząc radość ludu i wylanie serc dla króla, zazdrością i pychą się unosił i wolał nie wjechać do swojej stolicy, niż patrzeć na chwałę obcego króla. Nie dosyć na tem: kazał Sobieskiemu powiedzieć, że córki swojej dać nie może synowi króla, gdyż nie jest królem dziedzicznym. Śmieszna duma i zazdrość, haniebna niewdzięczność!! —

Wypadało jednak, widzieć się z królem i wybawcą kraju. W dniu 14. Września cesarz zjechał na wyznaczone wprzód miejsce za miastem. Sobieski ubrany jak w dzień bitwy, polską czapkę czerwoną, z śpiwką i piórami czaplemi na wrogu zdobytymi mając na głowie, a jeżdżąc na zdobytym koniu wezyrowym zbliżył się ku cesarzowi z miną zwycięzcy. Cesarz na koniu w ubiorze pysznym ale niegustownym, ogromną perugą odziany, po oziębłym ukłonie szeptał po łacinie jakieś słowa niezrozumiałe, widać, że niechętnie — a król mu na to: (także po łacinie) „Ciesz się mnie bracie, żem ci tę przysługę uczynił.“ — Już na tem się cała rozmowa skończyć miała, gdy królewicz Jakób przybył i kolano zgiął przed Leopoldem. Ojciec go przedstawił temi słowy: „Oto młody książę, którego wychowuję na obronę chrześcijaństwa.“ — Cesarz tylko głową i perugą skinął i na żadne słowo nie zdobył się; a wszakże podług przyrzeczenia miał być teściem królewicza. Najbardziej na tę niewdzięczność cesarza oburzył się książę Karól Lotaryński. Wtedy król z ukłonem odjechał do wojska swego i Turków ścigał. Zapłatą jego była sława i niewdzię-



czność taka, że Leopold ani zimowych leżów nie pozwolił dawać wojsku polskiemu, które krew dla niego przelewało i wycieńczone bojem i trudem płoszyło potęgę Muzułmanów aż do samych granic Turcyi. Dnia 23. Grudnia Sobieski po ogromnych trudach do Ojczyzny powrócił. Słusznie Europa powtarzała: że Polska jest przedmurzem chrześcijaństwa i piersią swą zasłania Europę od dziczy Mogołów, Muzułmanów Moskali i Tatarów. —



## V.

### Szczep Słowiański.



**Z**e czterech plemion rodzaju ludzkiego plemie Indo-Europejskie na całym okręgu ziemskim zajmuje najprzedniejsze miejsce. Rozkłada się ono na liczne starsze i młodsze rody, szczepy i narody, które w Europie rozmaite mają nazwiska. Liczy się w Europie do plemienia Indo - Europejskiego: 1. Ród tracki z szczepem trackim, greckim i łacińskim. 2. Ród kelto-germański ze szczepem niemieckim, keltajskim i cymbryjskim. 3. Ród windycki ze szczepem litewskim i słowiańskim. Szczep słowiański rozlany jest na przestrzeni od Wołgi aż za Elbę;



od morza Lodowatego aż do brzegów Czarnego morza; od Bałtyku do morza Adryackiego. Nie od razu ustaliły się tych narodów siedliska; albowiem kiedy Grecy i Rzymianie nad morzem Środiemnym oświatę wielką posiadali, jeszcze ludy na północy i na wschodzie Europy zostawały w ciemnocie pierwotnej prostoty. Głoszono wtedy dwa szczepy w tych krajach: Scytów na wschodzie, Keltów na zachodzie. Później pomiędzy nimi zjawia się szczep germański czyli niemiecki, siedzący aż po Wisłę. Wielkie narody pochodzą z Azyi do Europy wszystko to zmieniły w pierwszych po narodzeniu Chrystusa wiekach; a gdy się te ogromne ruchy nieco uspokoiły, i nawalnica ludów ucichła: wtedy widzimy szczep słowiański na całym wschodzie. Jak szczep słowiański rozrósł się w narody, tak język ogólny rozrośnięty jest w rozmaite języki narodowe i narzecza, które główną różnicę narodów stanowią. Języków uważać można dwa szeregi w całym szczepie słowiańskim. Pierwszy szereg zawiera języki Słowian wschodnio-południowych t. j.

- |      |                                   |             |
|------|-----------------------------------|-------------|
|      | ( A. Wielkorossyan, których jest  | 35,314,000. |
| I.   | ( B. Małorusinów, . . . . .       | 13,144,000. |
|      | ( C. Białorossyan . . . . .       | 2,726,000.  |
| II.  | Bólgarów . . . . .                | 3,587,000.  |
|      | ( A. Serbów czyli Illyrów . . . . | 3,294,000.  |
| III. | ( B. Chorwatów . . . . .          | 800,000.    |
|      | ( C. Karantanów czyli Słoweńców   | 1,151,900.  |

Drugi szereg zawiera języki zachodnich Słowian, do których liczą się:

- |     |                                  |            |
|-----|----------------------------------|------------|
| I.  | Polacy, których . . . . .        | 9,365,000. |
|     | ( A. Czechy i Morawianie . . . . | 4,414,000. |
| II. | ( B. Słowacy . . . . .           | 2,753,000. |

III. Łużacy,	a. górni których jest . . .	98,000.
	b. dolni . . . . .	44,000.

Ogółem więc jest:

1. Rossyan . . . . . 51,184,000.
2. Bólgarów . . . . . 3,587,000.
3. Serbów . . . . . 7,246,000.
4. Polaków . . . . . 9,365,000.
5. Czechów i Morawian . 7,167,000.
6. Łużaków . . . . . 142,000.

Słowian wszystkich 78,691,000.

Wykaz szczegółowy znajduje się na końcu tego dziełka.

## VI.

### Początki dziejów czeskich.

**P**przed przybyciem Słowian do Czech, rozmaite narody germańskie tam siedziały. Markomanny szczególnie długo panowali nad Elbą i Wltawą w owym pięknym kraju, który jakoby w kotlinie położony, opasany jest pasmami gór od każdej świata strony. Nareszcie i Markomanny poszli w rozsypkę lub pod władzę Ostrogotów i Longobardów, którzy następnie ustąpili Frankom. Frankowie postępując ku zach-

dowi, wpuścili Słowian w kraje, bojem i wędrówką wyludnione; a więc Serby osiedli tam za Elbą, inni w Łażacy, nazwani Łużakami od ługów czyli łągów, t. j. zarosłych bagien. Na południu wkroczyli inni Słowianie, którzy niejako rozpoczynając Słowian tamtejszych pochody, nazwali się Czechami, t. j. rozpoczynającymi, czyli pierwszymi; a za nimi idących nazwano Ślezakami, t. j. poślednio idącymi, czyli tylnymi, innych znowu Morawcami nad Morawą osiadłych i t. d.

Było to około r. 534 po narodzeniu Chrystusowém.

Przeszło pół wieku spokojnie Czechy i inni Słowianie tam siedząc, zostali napadnięci przez Obrynow, których to gości okrutnych po długim ucisku pozbyli się pod dowództwem niejakiego Samona i wygnali z kraju. Samo, królem obrany długo panował Czechom, Morawcom i Łużakom. Sąsiedni król Franków Dagobert tę władzę Samona uważał za nieprawą, a kraje Frankom przyległe za swoje; dla tego żądał, ażeby Czechy Franków za panów uznali. Samo posłom Dagoberta odpowiedział: „iż gotów to uczynić, skoro Dagobert i Frankowie zechcą być przyjaciółmi Słowian.“ Posłowie niemieccy na to: „Chrześcijanie i słudzy Boga nie mogą się bratać ze psami i poganami.“ — Czechy albowiem jeszcze wtedy nie byli przyjęli wiary Chrystusowej.

Usłyszawszy tę obelgę Samo, z gniewem odezwał się w te słowa: „Jeżeliście sługami Boga, my jego psami będziemy, ale naszymi zębami was rozszarpiemy, jeżeli co przeciwko Jemu uczynicie.“ — To rzekłszy, kazał posłom kraj opuścić.

Dagobert, odebrawszy Czechów odpowiedź, gotował zemstę. Zebrał więc wojsko i wysłał je na ukaranie hardych Czechów. Samo tymczasem za

granicą czeską w mocnym zamknął się obozie z swymi zastępami; gdzie go Frankowie otoczywszy, trzy dni bez ustanku mocno nacierali. Czwartego dnia Samo wypadł i z wielką natarczywością tak dzielnie uderzył na Franków, że ich rozbił i na głowę poraził. Sprzęty obozowe zostawiwszy Czechom, do domu wrócili, a Czechy łupy unieśli. Ośmieleni Czechy wpadli do Niemiec, i Turynią łupili, a pobratymcy ich, Sorbowie, korzystając z tego, wyłamali się z pod władzy niemieckiej, i z księciem swoim Derwanem przystali do Samona. Dagobert drugą wyprawę gotował i Sasy mu pomoc przyrzekli, pod warunkiem, jeżeli ich uwolni od daniny rocznej, składającej się z 500 wołów. Zezwolił na to Dagobert, lecz Sasy zbici, zemsty Czechów doznawali, a namiestnik Dagoberta, zdradzając własnego pana, zawarł przymierze z Samonem, który nadęty tem powodzeniem, począł być przykrym dla własnych poddanych i władyków czyli rządzców słowiańskich. Pięciu władyków kraj opuściło z mnóstwem ludu chrobackiego, osiadając w Serbii, Chrobacyi i Sławonii. Wszelako Samo jeszcze lat 18 spokojnie panował.

Po jego śmierci Czechy króla nie mieli. Później rządził Czechom jako sędzia i naczelnik niejaki Krok, po którym trzy córki pozostały: Kasa, Tetka i Libussa.

Słynęły one z mądrości i nauk tak dalece, że Czechy Libusę za królowę obrali. Zdarzyło się, iż rozsądzając sprawę między dwoma władykami, przegrywającego złość na siebie ściągnęła. Obelżywymi słowy od niego obsypana tak sobie sprzykrzyła urządowanie królewskie, że swą dostojność złożyć chciała. Zwoławszy starszych narodu, t. j. kmicie, lechy i władyki radziła im, aby sobie króla obrali i



ją od rządu uwolnili. Czechy, nie wiedząc, kogo obrać, rzekli: „wskaż nam takiego męża, który nam będzie królem a tobie małżonkiem.“ — Tedy Libussa kazala sobie przyprowadzić białego konia, i puszczając go na wolność, rzekła: „jeżeli koni ten stanie przed człowiekiem, któryby jadł u żelaznego stołu, tedy zaślubię się mężowi temu.“ — Przystali na to Czechowie i z wielką ciekawością pobiegli za białym koniem, który daleko uszedłszy narreszcie stanął przed rólnikiem. Siedział ów rólnik na kamieniu, mając przed sobą przewrócone do góry radło, na którym skromny pożywał obiad, t. j. kawał chleba i séra. Panowie Czechy dognawszy konia także przed owym rólnikiem stanęli dosyć zdyszeni i przypatrując mu się z podziwem ujrzeli stół żelazny, o którym królowa była wspomniała. Niebawem oddając pokłon nieznanemu, pytają go o imię. Jestem Przemysł, odpowiada poczciwy rólnik, jakąż jest wasza wola? — Panowie wręcz mu oświadczają, że go chcą mieć królem i panem. Nadaremnie wzbraniał się nieborak, i zastawiał się tém, że nie pochodzi z domu królewskiego, ani nie myśli o takiem dostojenstwie. Nic nie pomogło. Posłowie królowej prowadzą go, w ubiorze kmiecym, tak jak był, na zamek Libussy i księciem go swoim obwołują. Libussa go małżonkiem obrała; oboje długo szczęśliwie rządzą, stolica Praga wtedy powstała.

Na pamiątkę stanu pierwotnego Przemysł zawiesił w zamku Wyszogradzkim obuwie swoje, t. j. podeszwy ze surówca i rzemysзки z łyka lipowego. Pole, na którym wtedy był orał, gdy go posłowie przy obiedzie zastali, do dziś dnia nazywa się polem królewskim pod Pragę.

## VII.

## W i e r s z e.

*Słońce i księżyc.*

**K**iedy na wielki rozkaz wszechwładnego Słowa  
 Staęła świata budowa:

Na wspaniałym przestworze dwa światła zabłysły,  
 Co miały nadal kreślić wymiar czasu ścisły.

Jako dziewica w najświętniejszym stroju,

Lub jak bohater gotowy do boju,

Który na drodze sławy śmiałym staje krokiem,

I wesolém błyska okiem,

Wyszło słońce niebiańskim blaskiem otoczone,

Niosąc witań na skroni z wdzięcznych farb koronę.

Ziemia odgłos radości wydała do koła,

Upiększyły się kwiaty i zawoniały zioła.

Zazdrośne drugie światło na słońce spojrzało,

Bo mu zrównać nie zdołało.

A dumą wniesione rzecze jak najśmielój:

„I dla czegoż tron jeden dwóch monarchów dzieli?

Dla czegoż mam być drugim, gdy pierwszym być mogę?

Któż mi do téj wielkości zatamował drogę?“

W tém, gdy ostatni wyrazzust mu się wymyka

Skrytym bólem strawione piękne światło znika;  
 Rozpłynął się w powietrzu wdzięczny blask księżycy  
 I w drobnych gwiazd postaci ziemianom przyświeca.  
 Stał księżyc wybladły, jak grobowe cienie,  
 Zawstydzony, w pokorze leje łez strumienie  
 I rzecze do Wszechwładzcy złkaniem przerwanem,  
 „Zlituj się Ojczyści, nad nędznym mym stanem!“  
 Ten, który na pokornych miłem rzucam okiem,  
 Przysłała mu Anjoła z łaskawym wyrokiem.  
 Błysło... a świetny poseł w powietrzu się wznosi  
 I tak wolę Pana żałującemu głosi:  
 „Ponieważ blask słoneczny zazdrość w tobie wzniecił:  
 Od tych czas będziesz blaskiem przeciwnika świecił;  
 A skoro ciemna ziemia poprzęd tobą stanie,  
 Zniknie blask pożyczany, ciemność pozostanie.  
 Przestań jednak gorzkimi zalewać się łzami,  
 Bóg tknięty twemi proźbami  
 Winę przebaczył, pokorę ocenił;  
 I samo uchybienie w pomyślność zamienił;  
 A po sprawiedliwości surowej wymiarze  
 Jego dobroć bez granic pocieszyć cię każe;  
 Wyjdiesz z swojej nicości, dawny tron osiędzisz,  
 I świetne panowanie z słońcem dzielić będziesz.  
 A łzy, które wylałeś śród żalu, pokuty,  
 Zmieniają się w balsam rosy po ziemi rozsutej,  
 Który wszystko pokrzepi dobroczynnym darem,  
 Cokolwiek nielitośnym zemdli słońce skwarem.“  
 A gdy Anjół dobroci pociechę weń leje,  
 Odzyskał księżyc światło, którem dziś jaśnieje;  
 Król nocy otoczony gwiazdy iskrzącemi,  
 Zaczął spokojnie obieg na około ziemi,  
 A gdy się zastanowi nad swą dawną winą  
 W postaci drobnych pereł łzy mu z oczu płyną.

Jachowicz.

*Wdowa z Naim.*

Kogo pośród drogi  
Chrystus napotyka:  
Ten nie dozna trwogi,  
I żał jego znika.

Orszak pogrzebowy  
Wyszedł z Naim miasta,  
Z domu biednej wdowy,  
A za nim niewiasta.

Zał jej serce tłoczy,  
Od łez wyschły oczy,  
Syn jej ulubiony  
Życia pozbawiony.

Idą przyjaciele  
Do zmarłych mieszkania,  
Chociaż ich nie wiele,  
Słyszać płacz i łkania.

Ten, co wesprzeć może,  
Zawsze, wkażdej porze,  
Idzie ku tej stronie  
W Apostołów gronie.

Jego władza i potęga  
Za granice grobu sięga!  
Spojrzał na matkę i mówi:  
Niech się łza twa zastanowi.



I któż to matce zabroni  
Płakać nad dziecięcą stratą?  
Bóg jeden — bo w jego dłoni  
Jest nagrodzić cios zapłatą.

Piękny młodzian w trumnie leży,  
Gasną w nim życia ostatki;  
Lecz Jezus ku niemu bieży —  
„Wstan!” rzecze, „powróć do matki.“

I wzbudzi się pełen siły,  
I bieży w matki objęcia,  
A usta jego wielbiły  
Tę dobroć nie do pojęcia.

I do dzisiaj mówią ludzie  
O tym niepojętym cudzie;  
O dobroci Zbawiciela,  
Co biednym wsparcie udziela.

Co, gdy boleść tłoczy,  
Nędze nasze zoczy,  
Śmierć samą zwycięży,  
Choć grób na niej ciąży.

---

*Kościół S. Anny.*

---

Słońce wybiegło po nad dzwonnice  
Gasną na łąkach brylanty ros;  
Świergocą ptaszki, szemrzą krynice  
I szeleszczący skłania się kłos.

Święto Lipcowe — spieszą wieśniacy;  
By święcić Bogu niedzielny dzień;  
Bo sześć przeznaczył Pan Bóg do pracy,  
A sobie siódmy zostawił ten.

Już pełny kościół kmieci i panów,  
Z wysokości wieży grający dzwon,  
I śpiewy ludu i grzmot organów  
W jeden się święty zlewają ton.

A po dolinach, górach i lesie  
Święty ten odgłos obiega, brzmi;  
Echo go dalej w ustronie niesie,  
Gdzie jeszcze w mroku przyroda śpi.

I z lasu niby wonném kadzidłem  
Słońcem olśniona sączy się mgła;  
W dali strug szemrze, a trzepiąc skrzydła  
Skowronek piosnkę wesołą gra.

I roztulają się liście lasa  
I płyną słowa z nadziejskich stron,  
Tak miękkie, miłe, jak szmer atlasu,  
Lub święconego dzwoneczka ton.

Splywają słowa, niebieskie, święte,  
 Głosi przyroda; jak wielki Bóg:  
 Jak jego sprawe są niepojęte,  
 I nieskończony kres jego dróg.

Jadam.

*Zaporożec. \*)*

Choćby wicher ziemią trząsł,  
 Dziś na morzu chcę igrać;  
 Tylko skręć długi wąs;  
 Chyżej Turka będę gnać.

Dalój czajko wierzchem pian,  
 Rozcinajże fali szczyt,  
 Niech poczuje Bisurman  
 Naszych szabel bystry pływ.

Nie lękał się dziarski Lach \*\*)  
 Na Saraju \*\*\*) twego mur;  
 Miękką duszę oblał strach,  
 Piorun śmierci błyska z chmur.

Nuże dzieci pod kul grad,  
 My to ptaki ostrych zim;  
 Zchmury naszój w Carograd,  
 Potoczy się krew i dym. z Padurry.

\*) Kozactwo Zaporiskie, t. j. siedzące za progami (wodospadami) Dniepru, słynęło śmiałością i napadami szczególnie wyprawami na Czarne morze aż do Carogrodu. Zaporożcy bezżenni żyli pod rozkazami Attamanów swoich, których głosowaniem wybierali. Stolica ich była Sicz. Do wypraw morskich używali lekkich statków czyli czajek. \*\*) Polak. \*\*\*) Pałac Sultana tureckiego w Carogrodzie.

*Bieniasz Hermanów.*

Roku 1817 uczony Wacław Hanka, Czech, od-  
 wiedzając przyjaciela w mieście Królowym - Dworze  
 w Czechach, słyszał, iż wtamtejszym kościele w ni-  
 skiem sklepieniu pod chórem znajduje się pęk staro-  
 żytnych strzał. Ciekawy oglądać ten zabytek da-  
 wnych czasów, kazał się zaprowadzić do kościoła, i  
 rozwinąwszy strzały odkrył karty pergaminowe, za-  
 pisane. Z wielką radością wyczytał z tych kart pra-  
 dawne śpiewy czeskie o bohaterach ojczystych.  
 Droga ta po ojcach pamiątka, w krótkce ogłaszana,  
 powszechnie w kraju obudziła uniesienie. Prostota  
 starodawna, piękność utworu i myśli równać się mo-  
 gą najpiękniejszym pniom Greków, Hiszpanów i  
 Niemców. Język tych pieśni sięga roku 1000go,  
 kiedy Czechy, Polacy, Rusini, zgola wszystkie szcze-  
 py słowiańskie wspólniejszą, niżeli dziś mieli mowę.  
 Nie potrzeba nam zazdrościć Czechom tego odkry-  
 cia, tych pni bohaterkich; mamy równie piękny  
 zabytek z wieków upłynionych, t. j. słowo (wiersz)  
 o wyprawie Igora na Połowców, w języku ruskim  
 pisany, który w ówczas zapewne jeszcze był wspólny  
 Lachom i Rusinom, przynajmniej nie wiele się różnił  
 od ówczesnego polskiego.

Zowego więc rękopisu królodworskiego nastę-  
 pujący wiersz jest wyjęty. Zdarzenie w nim opisane  
 tak kronikarze starzy opowiadają.

Po upadku Ottokara (r. 1278) Czechy na łup  
 oddane nieprzyjaciolom doznawały wielkiego ucisku.  
 Następca Ottokara, dziecię siódmoletnie pod srogą  
 opieką Ottona II. margrabi Brandeburskiego, ożenio-



nego z siostrą Ottokara, nie tylko pozbawiony pomocy, ale nadto wraz z matką swoją więziony zostawał. Naród czeski ze zgrozą poglądał na srogość obcego władcy, a o prawym swoim panie nie prawie nie wiedział; bo gdy matka księcia młodego, uszła z więzienia do Opawy, wtedy Otton dziecko więzione odesłał do Cytowa; a naród w niewiadomości o nim zostawał. Namiestnikiem swoim w Czechach postanowił Otton biskupa Eberharda, łakomego i niedobrego pana. Lud niemiecki z Marchii przybywał, panoszyć się w bogatym kraju czeskim; łupił świątynie, wyzuwał właścicieli z posiadłości, zagrabiał wieśniakom dobytek, niszczył żniwa, okrutnie gospodarząc. Tedy ucisk powszechny lud pobudził do szukania ratunku w własnych siłach. Pieśń niniejsza wystawia napad i gwałty cudzoziemców w czeskiej ziemi, którzy od gór leśnych z okolicy Zgorzelic (Goerlitz) przybywają i doliną Izery idą wprost ku zamku, sterczącym na skałach, Troski zwanym. W pobliżu jest miejsce nazwane Łom, gdzie bitwa stoczona została. Tam cudzoziemcy porażeni na głowę, zapłatę wzięli.

O słońko! czemu ty świecisz,  
 Załośnie, słońko powszednie  
 Czemu ty, czemu tak świecisz  
 Na ludzkie biedne?

Gdzie książę? Lud brońca kędy?  
 Daleko zabrał go Otto.  
 Któż wstrzyma wrogów zapędy  
 Kraju sieroto!

Już wojska niemieckich Sasów  
 Ciągami ciągną długimi;

Z Zgorzelskich górzystych lasów  
Ku naszój ziemi.

„Dawaj, kładź ludu nieboże  
Twe złoto, twój sprzęt bogaty,  
Nim wróg wypali rozorze  
Dwory i chaty.“

Złota i srebra nieszczędzą,  
Pałą zagrody i wioski,  
I trzody ze sobą pędzą,  
Ciagną na Troski.

Nieżał się, nieżał już kmieciu,  
Koniem najeźdźcy czas długi,  
Deptana trawka — w przedleciu  
Zieleni smugi.

Wybawcy waszego kraju  
Wij wieniec z polnego kwiatu,  
Weselsze zasiewa w Maju,  
Weselsze światu.

Weselsza nadeszła zmiana,  
Oto lud zbiera gromady;  
Dzielny Benesz syn Hermana  
Na Sasy sąsiady.

Garną się wieśniacze męże  
Pod Grubą Skałą, śród lasów;  
W cepy zbrojni jak w orężu  
Na wrogów Sasów.

Benesz im, Benesz na przodzie,  
Za nim lud walił się cały;  
Mścij się mścij! woła, narodzie,  
Oto Sas zuchwały.

Dwa wojska w krwawej potrzebie  
Jak lasy razem się walą;  
Jak blask piorunów po niebie  
Miecze się palą.

Wrzask grozy zatrząsł krainą,  
Zwierz leśny wyskoczy z nory;  
Latawce swe skrzydła zwiną,  
Wrzask po trzy góry.

I długi łoskot wśród jarów,  
Tak miecze, tak włócznie grzmiały;  
Jak łom zbutwiałych konarów  
Zskały na skały.

W bój stanęli nieprzejęty,  
Ci tych, ci tych zmóźdz nie mogą,  
Zasadzali się na pięty,  
Zaparli się na nogi.

Benesz ku górze się puszcza,  
I skinął mieczem na prawo:  
Tam zbrojna garnie się tłuszcza —  
Skinął na lewo.

I wlewo uderzą siły;  
Wystąpią na skał urwiska;  
Lud złomu kamienne bryły  
Na Niemce ciska.

Zgór męże na pola zbiegły;  
Ach jak tam Sasy jęczeli,  
Ach jak tam Sasy pierzchnęli  
Aż wszyscy legli.

*Ptaszyny.*

Kiedym ja chłopca jeszcze nie przerastał,  
I w głowie jeszcze kiedy zieleniało,  
W te święte czasy o nie się nie dbało,  
By tylko dzionek pogodny mi nastał.

Wiosna i lato, każda roku pora,  
Niesie po cacku, po nowym gościńcu;  
Zawsze rana zawsze do wieczora  
Pełno hałasu, wrzawy po dziedzińcu.

Nadchodzi zima, — ja stawiam sidelka,  
I tuż czatuję u płotu schylony,  
Dwie, trzy minuty — i ptaszek schwycony;  
Zdradna nić lotne krępuje skrzydełka.

Szczygły i ziemby, czyżyki i kosy,  
Tuż popadają, od sideł do klatek;  
I biedne więźnie z za drócianych kratek  
Wywodzą tęskne, melodyjne głosy.

Po nad starego Oceanu fale,  
Syreny nie tak rozkosznie śpiewały,  
Jak one, kiedy harmonijne żale  
W różne a różne tony szczebiały.

Skoro myślałem: niewiniątka moje  
Wrócę wam drogą ukochaną wolę!  
Niechajno zwiosną rozpuszczą się zdroje,  
Niechno się lasek zazieleni, pole. —



I kiedy przyszło Pańskie Zmartwychwstanie,  
Jeszcze się całkiem nie rozjaśnił ranek;  
Już niosę klatki, klącezki na ganek. —  
Nastaje czule z więźniami rozstanie.

I jedne drzwiczki po drugich otwieram,  
Wypuszczam jedną po drugiej ptaszynę, —  
Szczęśliwą drogę — w szczęśliwą godzinę!  
I jedną łezkę po drugiej ocieram.

Ocieram łezkę i teraz, choć ptaszki  
Dawno, już dawno mnie odleciały:  
Chociaż od serca tęsknego igraszki  
Dawno, już dawno na zawsze odstały:

Ocieram łezkę — lecz nie jak w życia zaraniu,  
Co krasuje i wyjaśnia oczy,  
Lecz tę, co w każdym sercu żal roztoczy,  
I tęsknotę ku zmartwychwstaniu.

O Boże, Boże! puść i nas ptaszyny,  
Dajcie nam bujać po naszej krainie,  
W dzień Zmartwychwstania niechże klatka zginie,  
Odpuść ptaszynom dawne ich winy.

Powiedząc one góróm i strumieniom  
Jak wielkie Twoje miłosierdzie Panie —  
Wdzięczny ich szczebiot himnem się stanie  
Wyrównającym dziatwy Twojej pieniom.





Wykaz szczegółowy.

Ludność Narodów Słowiańskich.	w Rosyi.	w Austrii.	w Prusiech	w Turcyi.	w Krako- wskiem.	w Saxonii.	Wyznania. G. Greckie. U. Unickie. K. Katolickie. P. Protestan. M. Mubametan
Wielkorosyanie.	35,314,000						G.
Rusini.	10,370,000	2,774,000					10,154,000 G. 2,990,000 U.
Białorusini.	2,726,000						2,376,000 G. 350,000 K.
Bólgary.	80,000	7000		3,500,000			3,287,000 G. 250,000 M. 50,000 K.
Serbowie.	100,000	2,594,000		2,600,000			2,880,000 G. 1,864,000 K. 550,000 M.
Chorwaci.		801,000					K.
Słoweńcy.		1,151,000					1,138,000 K. 13,000 P.
Polacy.	4,912,000	2,341,000	1,982,000		130,000		8,923,000 K. 442,000 P.
Czechy i Morawcy.		4,370,000	44,000				4,270,000 K. 144,000 P.
Słowacy.		2,753,000					1,953,000 K. 800,000 P.
Łużacy górni. dolni.			38,000 44,000			60,000	( 10,000 K. ( 88,000 P. 44,000 P.
Ogółem.	53,502,000	16,791,000	2,108,000	6,100,000	130,000	60,000	











N.P.T. 665

1846